MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XV. Nr. 17. WARSZAWA, 28 KWIETNIA 1935 R. CENA NUMERU 80 GR.

ZIEMIAŃSTWO

ARTYKUŁ ten chciałbym nawiązać do owej serji, omawiającej dzieje naszej przemiany społecznej — serji, która ukazywała się w zeszłorocznych numerach „Myśli Narodowej". Gdy tamte traktowały o przeszłości, wskazując, jak zwolna ona przerabiała Polskę sarmacką na dzisiejszą — ten (i drugi, uzupełniający go, o *gentry*) mówić będą o teraźniejszości, o skutkach pracy tych stukilkudziesięciu lat. Jest więc między niemi ścisła łączność, jeżeli już nie w ujęciu, to w samym temacie, w samym przedmiocie, o którym mówię.

Streszczając w paru słowach bieg społecznej historji Polski od czasów stanisławowskich począwszy, można śmiało powiedzieć, że przedstawiała się ona jako równoczesne odszlachcanie i uszlachcanie Polski. Odszlachcano ją, wprowadzając w jej życie, coraz to nowsze i świeższe warstwy — uszlachcano przez nadawanie tym warstwom dominującego szlacheckiego pokostu. Biegły więc w tym procesie niejako warstwy historyczne i niehistoryczne sobie na spotkanie, by złączywszy się wytworzyć jakąś nową, a ściślej: odnowioną, bo wobec siły elementu szlacheckiego — Polska została szlachecką, a tylko jej szlacheckość się zmieniła. Dawna szlachta pod wpływem najrozmaitszych czynników, o których działaniu nie chcę jeszcze raz powtarzać, — przetworzyła się całkiem i zamieniła z mniej więcej zamkniętego stanu na dwie luźne klasy społeczne: ziemiaństwo i *gentry*. One są bezpośredniemi dziedzicami szabelnej tradycji sarmatyzmu, — wszystkie inne mogą mieć na sobie pokost szlacheckiej kultury (bo innej w Polsce dotychczas nie ma), ale nie są dalszym ciągiem szlachty. Taki stanowią tylko *gentry* i ziemiaństwo, zwłaszcza to ostatnie przez swą wiejskość.

Zadatki na taki właśnie podział wielkiej warstwy szlacheckiej tkwiły właściwie już oddawna. Zawsze byli posesjonaci, czyli rdzeń przyszłego ziemiaństwa (w znaczeniu klasy, bo ziemiaństwo jako takie jest tak dawne jak sama Polska) i brać również klejnotna ale uboga, szukająca szczęścia na wojnach, po dworach wielkich panów i w palestrze. Słowem, żywioł wrosły, osiadły czyli wiejski, i ruchliwy, zmienny, w psychice swojej już nieco miejski. Ale ostatecznie stan szlachecki rozdzielił się na te dwie grupy w czasach stanisławowskich, a zwłaszcza po rozbiorach, gdy na wieś mógł pójść *homo novus*, a przed szlachtą niezamożną stanęło miasto i urząd jako główne drogi karjery; — to rozstrzygnęło.

Klasa społeczna ma to do siebie, że jest zewsząd otwarta i w składzie swoim zmienna, tem się właśnie różni od stanu. Właściwie więc ziemiaństwo przestało już być klasą; stało się z powrotem rodzajem stanu. Klasą było tak długo, jak istniał dostęp do niego, jak odświeżało swoje szeregi. Dziś tego wszystkiego niema, dostęp do niego zamknęło życie, podważając samo jego istnienie. Z chwilą gdy parcelacja stała się regułą a odprzedaż majątku wyjątkiem — ziemiaństwo

zaczęło maleć liczebnie i przerabiać się ponownie na stan. Gdy kupno majątku przestało być interesem, a równocześnie załamał się snobizm kupowania ziemi dla samego podniesienia własnej pozycji socjalnej, co świetnie odbija nowela Żeromskiego „Doktór Piotr" — nikt nowy w jego szeregi nie napływał. Nieliczne odprzedaże majątków były robione pomiędzy sobą, albo też kupował ktoś z *gentry*, chcąc wrócić na rolę. Dwa więc odłamy szlachetczyzny zaczęły wymieniać ludzi między sobą, co nie bez znaczenia ze względu na podtrzymywanie ścisłaj łączności między szlachtą wiejską i miejską, było jednak obojętne z punktu widzenia zasadniczych przemian społecznych.

W każdym atoli razie przez przeciąg blisko półtorawieczny było ziemiaństwo klasą i to sprawiło, że jego skład osobowy walnie się zmienił. Gdy jeszcze pod koniec czasów stanisławowskich po dworach byli tylko „*bene nati et possessionati*", to dziś wprawdzie wszyscy są „*possessionati*", coprawda nieraz nad wartość obdłużeni, ale nie wszyscy „*bene nati*" i „dobra szlachta". Często tu dziś „*homines novi*", choć nowość ta jest bardzo rozmaita i naogół biorąc w najgorszych wypadkach od jakichś trzech pokoleń dworska i klejnotna, choć zdarza się oczywiście i świeższa.

Nie jest więc ze swego pochodzenia dzisiejsze ziemiaństwo jednolite i można w niem wyraźnie odróżnić cztery grupy bardzo nierówne co do ilościowego składu: 1° „półtora szlachtę", 2° dawne rody ziemiańskie, 3° nowe rody, głównie obcego pochodzenia, też szlacheckie, ale często o nowem szlachectwie, zawsze zaś nowe w swojej ziemiańskości, 4° nieszlachtę, wkład czasów ostatnich.

„Półtora szlachta" to wszyscy ci, którym z rozmaitych powodów, przy przetasowywaniu się społeczeństwa nie udało się wejść do arystokracji, do czego aspirowali. To te wszystkie rody, które obsadzały mniejsze krzesła w senacie, wyróżniały się zamożnością i koligacjami od zwykłej powiatowej szlachty, nosiły się bardzo wysoko i w okresie gorączki tytułowej na przełomie wieków XVIII-tego i XIX-tego posprawiały sobie różne hrabstwa, dziś już przeważnie martwe i zabytkowe, uświetniające tylko nekrologi i zawiadomienia ślubne. Górna granica, oddzielająca tę warstwę od niezaprzeczalnej już arystokracji jest naogół bardzo niejasna i chwiejna, bo oparta przedewszystkiem na pieniądzu. Zachęca to do snobizmu i ze wszystkich warstw społecznych, ta właśnie jest najbardziej na te pokusy narażona. Dolna, dzieląca ją od reszty braci szlecheckiej, niemal nieprzekraczalna, bo oparta na tych pewnych tradycjach z przeszłości, jakich nie sposób sobie dorobić. Zdarzają się jednak wypadki wtargnięcia, choćby nawet pozornego, w tę sferę, i to nawet dosyć niepowołanych. Tak jest naprzykład z pewnym dygnitarzem, byłym starostą i wojewodą, który ożeniwszy się z ziemianką i osiadłszy w jej dobrach „nas przeskoczył — z chłopa stał się odrazu półtoraszlachcicem", jak to dowcipnie powiedział jeden jego współpowietnik.

Druga wymieniona przezemnie i najliczniejsza, część składowa ziemiaństwa nie wymaga żadnych komentarzy; — lepiej więc odrazu przejść do trzeciej.

Ta trzecia grupa, również silna liczebnie, to najbardziej spacyficzny skutek tej ewolucji społecznej, jaką przechodziła Polska w XIX wieku. Należą do niej przeważnie rodziny niepolskiego pochodzenia, choć trafiają się i polskie mieszczańskie. Jest to szlachta naogół nowa, przynajmniej w stosunku do dawnej, a jeśli nawet nie brak tu i prawdziwie szlacheckich rodów — to w rozumieniu polskiem jest to bez wyjątku szlachta nowa, bo liczne indygenaty były udzielane przedewszystkiem nieznanej u nas szlachcie urzędniczej czy herbownemu patrycjatowi miast niemieckich, z naszego punktu widzenia oczywiście mieszczaństwu, choćby nie wiedzieć jak staremu. Tradycje tych rodzin, naogół biorąc, są inne od tradycyj szlacheckich; prawdziwa szabelna tradycja szlachecka idzie w nich po kądzieli, sarmatyzm w nich tkwi tylko połowicznie, a polskość została wypracowana świadomym wysiłkiem pierwszych pokoleń. Ta warstwa przedewszystkiem pisała naszą historję w XIX wieku; ona najwięcej może nawet była ziemiańska. Postać Pola mimowoli staje przed oczy jako najbardziej reprezentacyjny jej typ w jej fazie początkowej. Dziś już zupełnie zasymilowana, różni się od reszty ziemiaństwa chyba tylko nazwiskami i to spolszczonemi, nierzadko w brzmieniu, a zawsze prawie w pisowni. Różni się też chyba większą naogół tradycyjnością, zrozumiałą przez pewien, może nawet podświadomie tkwiący „kompleks niższości" w stosunku do prastarych posesjonatów. Gdy prawdziwie sarmacka szlachta często niedba o siedziby rodowe, mieniając je stale, nie pielęgnuje swych tradycyj i nie pamięta imion antenatów, to ta nowa trzyma się lepiej swych nowych siedzib, i jej dwory obok dworów (i pałaców) „półtoraszlachty" są najbardziej w swojej tradycjonalności i rodowości—piękne i typowe.

Wreszcie czwarta grupa, bardzo nieliczna, właściwie znikoma, nie dlatego, żeby skład ziemiaństwa był czysto szlachecki, ale że *per fes et nefes* wszyscy prawie nieszlacheccy ziemianie sobie podorabiali herby, — to ta nieszlachta, która weszła tu zapóźno, by szlachtą zostać. Rodzin takich jest i mało i są one raczej przejściowe, o ile nie uda im się wrosnąć w teren, zbratać ze współziemianami i po sąsiedzku pożenić, ale wtedy znowu z reguły już szlachtę udają. Tylko czujna plotka i pamięć sąsiedzka przechowują głuchą

wieść o ich pochodzeniu, której często coraz mniej się wierzy. Ich protoplaści i praszczurowie, coraz ginący w mroku, to nie jacyś pancerni rycerze, czy zasłużeni indygeni, ale wprost (jak się w pińczowskiem mówi) „obraźnicy”, że to niby po jarmarkach święte obrazki sprzedawali.

Wszystkie te warstwy wyróżnić zresztą można tylko historycznie,—pewne ślady tych podziałów obserwować w życiu po powiatach, ale dzisiaj śmiało można powiedzieć, że ogół ziemiański stanowi jednolitą całość. Węzły krwi łączą te wszystkie grupy między sobą i w rozmaitych tradycjach tych grup każda niemal rodzina ziemiańska przez swych pradziadów czy prababki uczestniczy;—proces dziejowy został tu już całkowicie ukończony.

Na zakończenie warto jeszcze jedną rzecz poruszyć — sprawę przymieszki krwi żydowskiej, infiltracji tego wrogiego żywiołu. Niewątpliwie ona się trafia — naprzód przez frankistów, których rodziny zdołały całkiem wejść w społeczeństwo szlacheckie i pobratać się z niem przez świetne parantele (np. Wołowscy, krewni Potulickich i Woronieckich), dalej przez różne zyskowne pieniężnie małżeństwa, wreszcie przez różne inne kombinacje.

Bo rodziny frankistowskie to nie są jedyne rodziny ziemiańskie żydowskiego pochodzenia, są i inne, bardzo nieliczne zresztą, tak że na palcach można je policzyć, których żydowskie pochodzenie jest bardziej ukryte i zacierane. Tak naprzykład wścibstwo sąsiedzkie uparcie i zgoła niebezpodstawnie głosi początkową żydowskość ziemiańskiej rodziny tego lub owego głośnego dzisiaj dygnitarza. Naogół jednak przymieszka tej niesympatycznej krwi, o ile nawet wyjątkowo zachodzi, jako dawna i nieznaczna nie przeszkadza potomkom być najlepszymi Polakami. Zwłaszcza doszukiwanie się żydowskich atawizmów u potomków frankistów na jakąś szerszą skalę, uważam, mimo wypadku Boya (urodzony z Grabowskiej, z rodziny frankistowskiej, nobilitowanej w 1790 roku z herbem Dołęga z odm.) za przesadne. Co zaś do żydów, posiadających majątki, to stwierdzić wystarczy, że są oni poza nawiasem życia ziemiańskiego, nawet o ile pod wpływem nastrojów sanacyjnych wpuści ich się do związków ziemian, co niestety w paru powiatach, np. pińczowskim uczyniono.

KAROL STEFAN FRYCZ

SĄD NAD PROF. SOBIESKIM

i JEGO NASTĘPSTWA

W ROKU 1931, nakładem opanowanego już przez „sanację” Towarzystwa Szkoły Ludowej, wyszła książka prof. W. Sobieskiego,— „Dzieje Polski”, przeznaczona dla ludu.

W roku 1934 nakładem firmy Payot, w Paryżu, ukazało się francuskie tłumaczenie tejże książki, z pewnemi drobnemi (może zbyt drobnemi) zmianami, przeznaczone dla szerokiej publiczności francuskiej. W obu wydawnictwach krótko został przedstawiony okres niewoli, stosunkowo obszernie — czasy potęgi mocarstwowej dawnej Polski. W obu położył autor akcent na to, czego dokonał n a r ó d polski dla siebie i dla cywilizacji w roku 1920.

Przedtem dwu autorów pokusiło się o przedstawienie tej sprawy w dziełach ogólnego zasięgu (pomijamy monografje specjalne i pamiętniki).

St. Kutrzeba, nie wdając się w rozróżnianie osobistych zasług, zaznaczył tylko znane fakty, że wojska polskie uderzyły na wroga w sierpniu 1920 r. pod wodzą Naczelnika Państwa, ale że przedtem gen. Weygand współpracował ze sztabem polskiej armji nad planem dalszej kampanji.

M. Bobrzyński, nawiasem mówiąc, zajadły do ostatka wróg Narodowej Demokracji, wspomniał m. in. o zasługach generałów: Jozefa i Stanisława Hallerów, Latinika, Sikorskiego (dwukrotnie), a o twórcach głównej operacji warszawskiej wyraził się następująco: „Pod przewodem naczelnego wodza Piłsudskiego toczyły się teraz narady nad planem odparcia wojsk sowieckich, narady, w których brali udział: generał Weygand, szef sztabu gen. Rozwadowski i minister wojny Sosnkowski. Zdecydował 6 sierpnia Piłsudski, a w Rozwadowskim znalazł doświadczonego współpracownika”.

Nikt jednak ze strony „sanacji” nie atakował ani Bobrzyńskiego, ani Kutrzeby, ani polskiego wydania Sobieskiego. Bo też Sobieski nigdy nie uważał za swe zadanie walki z J. Piłsudskim; jego rzeczą była obrona historycznych praw Polski na zachodzie i samoobrona ekonomiczna przed żydami wewnątrz kraju.

Dopiero francuskie wydawnictwo Payota rozpętało burzę. Wiedziano o niem zawczasu w ambasadzie polskiej w Paryżu, gdzie nad propagandą czuwali pp. Mühlstein i Teslar. Liczono, zdaje się, na to, że szybki druk podręcznika O. Haleckiego (który zresztą poza rok 1914 nie sięga), odstręczy firmę Payota od ogłoszenia Sobieskiego; kiedy ów jednak się ukazał, próbowano za pośrednictwem ministra Fr. Pułaskiego, zmusić autora do „przerobienia ostatniego arkusza w duchu zgodnym z „interesami państwa”. Autor odmówił. Cóż tam było w inkryminowanej książce?

1. O „Cudzie Wisły” powiedziano, że plan bitwy warszawskiej (t. j. początku kontrofensywy polskiej) *„fut élaboré”* przez Weyganda i Rozwadowskiego, który *„plein d'entrain et d'optimisme remontait tous les courages”*, że Piłsudski *„arrêta son choix”* na korzyść planu, aby główny kontratak prowadzić od Wieprza; że *„ses directions”* zostały wykonane doskonale przez wszystkich ge-

nerałów, że szczególnie odznaczył się Wł. Sikorski, który wepchnął przeważne siły bolszewickie do Prus; że później Piłsudski pobił wroga pod Lidą i Wilnem.

Wyraźnie też stwierdzono, że naczelne dowództwo sprawował J. Piłsudski i że ta kampanja, pod jego dowództwem wygrana, ocaliła Europę przed najazdem Moskwy.

2. O Legjonach krótko powiedziano, że przed samą wojną sztab austrjacki starał się pozyskać dla sprawy Habsburgów młodzież polską, że Piłsudski wkroczył do Kongresówki ze strzelcami 6 sierpnia, a nie znalazłszy tam oddźwięku utworzył legjony *(on créa)* za zgodą owego sztabu; że później sam z P. O. W. działał coraz wyraźniej przeciw mocarstwom centralnym i dlatego został wywieziony do Magdeburga.

3. O żydach pisał Sobieski, że zdradzali w r. 1920 Polskę na rzecz bolszewików, o Niemcach, że gotowali się wyzyskać klęskę Polski i nielojalnie wspierali bolszewików.

Wszelkie uogólnienia są w historji niebezpieczne, bo upraszczają powikłaną rzeczywistość kosztem istotnych nieraz szczegółów. Jeżeli w tym wypadku uogólnienie budziło zarzuty, to można było te ostatnie oddać pod rozwagę rzeczoznawców, dobranych tak, jak się tworzy sądy polubowne, albo mianowanych przez poważną, bezstronną instytucję. Zamiast użyć tej uczciwej i rozsądnej metody, zaczęto w prasie codziennej, po części brukowej, obrzucać W. Sobieskiego najcięższemi zniewagami.

Dypl. major, Józef Moszczeński w „Kurjerze Porannym" potępił „szkodliwą książkę, malutką duszyczkę, nędzną gierkę", ponieważ na ostatnich 9 stronicach dostrzegł tam „typowo fałszywe" naświetlanie zjawisk historycznych. Wobec francuskiej książki, która przyznaje gen. Rozwadowskiemu i Weygandowi współautorstwo planu bitwy warszawskiej, a milczy o tem, jak legjony pomagały Niemcom i Austrji w momencie szturmów na Verdun, wobec takiej książki „pozostaje napiętnowanie publiczne przez naukę, prasę i opinję tego rodzaju publikacyj".

Pan naczelnik wydziału, Aleksander Kawałkowski w „Gazecie Polskiej" wygłosił w najwyższej instancji „Sąd nad prof. Sobieskim": orzekł, że ów „rozmiarem i gatunkiem swej tendencji przekroczył granice możliwej tolerancji, narażając na szwank dobro moralne Narodu i Państwa", „dopuścił się ponadto sfałszowania szeregu faktów dziejowych"; sędzia przyznał jednak wspaniałomyślnie okoliczność łagodzącą, że „te fałsze wynikły raczej z ignorancji, aniżeli złej woli".

Major dr. Wacław Lipiński w „Pionie" poklepał po ramieniu St. Kutrzebę, zgromił M. Bobrzyńskiego za plotki i „płycizny", aby następnie wziąć pod główny ogień nie „*Histoire de Pologne*" Sobieskiego, ale III tom jego dawniejszych „Dziejów Polski", gdzie na przestrzeni 160 stronic łatwiej było czepiać się gołosłownie różnych szczegółów (nawet tych, które później zostały sprostowane),— a w konkluzji potępić „niewiarygodne zupełnie sfałszowanie historji, jakie poważył się popełnić prof. Sobieski".

Czem jest na polu dziejopisarstwa pan Moszczeński, nie wiadomo. Pan Kawałkowski to znany działacz, według dzisiejszej terminologji, „państwowo - młodzieżowy". Pan Lipiński, „rycerski" harcerz, zawdzięcza swój tytuł naukowy ś. p. prof. Sobieskiemu. Wyszedł z jego seminarjum i na jego ręce złożył przed laty ślubowanie, że pracować będzie nie dla brudnego zysku, ani dla próżnej sławy, ale dla szerzenia owej prawdy, na której zawisło zbawienie rodzaju ludzkiego. W r. 1928 skompilował on książkę „Dziesięciolecie odrodzenia polskiej siły zbrojnej", do której przepisał dłuższy ustęp z W. Tokarza, bez zacytowania autora (ob. „Szaniec" 1929 r. 1 i 15.XI). Autor ten myśli o katedrze uniwersyteckiej, choć jak widać z mylnego obliczenia wzmianek o Piłsudskim u Sobieskiego (rzekomo dwie, gdy było ich cztery) niezawsze umie policzyć palce u jednej ręki.

Pozatem nikt, ani jeden uczciwy, poważny historyk, nawet z pośród tych, co służą „sanacji", nie wystąpił przeciwko W. Sobieskiemu. To doprowadziło do szału samozwańczych przedstawicieli „nauki, prasy i opinji". „Dziennik Poznański" oskarżył całe gremjum historyków krakowskich (czemu nie warszawskich lub lwowskich?), że milcząc w tej sprawie, zatruwają dusze młodzieży, i zagroził im między wierszami Berezą. A pewien organ, bodajże „Myśli Mocarstwowej" wprost wysyłał prof. Sobieskiego do Berezy. W wysokich kołach rozważano nawet kwestję, czyby nie wytoczyć Sobieskiemu procesu kryminalnego o szkodzenie państwu zagranicą, a to na podstawie jakiegoś rozporządzenia Prezydenta Rzplitej.

Tymczasem szary człowiek pytał siebie z niedowierzaniem: jaką to „gierkę" chciał wygrać ów historyk, gdy się narażał rozdawcom orderów, posad i kar? Czy za tem wszystkiem nie kryje się jakaś „gierka" innych, ogromnych dusz?

Rozgrywka nastąpiła najpierw w postaci reformy uniwersyteckiej.

Minister Wacław Jędrzejewicz zażądał od Rady Wydziału Filozoficznego uniwersytetu Jagiellońskiego opinji w sprawie zamierzonego zwinięcia katedry historji powszechnej i utworzenia zamiast niej katedry historji nowożytnej. Wydział przytoczył szereg argumentów przeciw tej niepotrzebnej „reorganizacji". Minister z dniem 1 kwietnia reorganizację jednak przeprowadził.

W powietrzu brzmiały jeszcze wyrazy: szkodliwa książka, malutka duszyczka, nędzna gierka, fałszowanie faktów, zatruwanie dusz młodzieży, Bereza... Moszczeński, Kawałkowski, Lipiński...

Wacław Sobieski nie ugiął się przed tym „sądem", choć słyszał o grożącym procesie karnym i choć chwilami przeczuwał, co go czeka; wszak ostrzegali go lekarze i przyjaciele, że następnego pęknięcia naczyń mózgowych może nie wytrzymać. Rano 3 kwietnia wyszedł na miasto pełen jeszcze dobrej myśli, o 11-ej wrócił i siadł do pisania wspomnień o ostatnich przeżyciach. Przed południem przyszedł nań atak i zgon.

Po Balzerze, co nie mógł znieść zamachów na prawo i wolność nauki, po Adamie Chmielu, którego odepchnięto od stworzonego przezeń warsztatu pracy, aby dać posadę ignorantowi, odszedł z tego świata Sobieski.

Coś jednak po nim pozostało.

Prócz dzieł przepięknych, świetnych, prócz dziesiątków uczniów, którzy ziarno jego myśli pielęgnują, prócz tego ciepła i światła, które rozsiewał w narodzie, budząc w nim dzielność, przezorność i patrjotyzm, pozostał, przypieczętowany jego

cierpieniem i zgonem, nakaz szukania prawdy — nawet w tych dziedzinach, na których wielowładna ręka napisała: tabu.

Jeżeli do niedawna milczenie pokrywało bolesne zagadki ostatnich czasów, to teraz starzy i młodzi, a zwłaszcza ci młodzi pytać będą nauczycieli i badaczy już nie o to, kto obmyślił i kto przyjął plan operacji warszawskiej, bo kwestja ta jest w gruncie rzeczy wyjaśniona, ale o inne rzeczy, bardziej istotne, z rokiem 1920 związane.

Czy naprawdę trzeba było zrywać rokowania z powodu Borysowa, aby narażać kraj na zniszczenie, a sto tysięcy ludzi na śmierć, i aby uzyskać granice ciaśniejsze, niż te, które wróg przyznawał nam przed kampanją? A jeżeli kampanja była niezbędną, to jak do tego doszło, żeśmy pomaszerowali wielką forsą na Ukrainę, odsłaniając front białoruski? Że nas z Kijowa wymanewrował na łeb na szyję osiemnastotysięczny korpus Budiennego? Jaka w tem była strategja i jaka polityka? Ileśmy za to zapłacili na *forum* międzynarodowem? Kto się wówczas załamał i kto swym hartem przywrócił wiarę armji?

Pytania takie pogłębią się, rozszerzą naprzód i wstecz. Odpowiedzą na nie świadectwa i dokumenty. Albowiem *nihil est occultum quod non revelabitur*.

DANTISCUS

NAUCZYCIEL NORWIDA

JAN KLEMENS MINASOWICZ

KAŻDEMU badaczowi, który miał do czynienia z genjalnym tworem Norwida, z jego spuścizną literacką i plastyczną, musi się nasunąć pytanie, kto był pierwszym jego przewodnikiem na szlakach sztuki, kto najwcześniej spostrzegł i ocenił świętą iskrę genjuszu, drzemiącą w młodym artyście, kto pierwszy starał się ją rozdmuchać, pielęgnował i ochraniał.

Pytanie to kapitalnie, ale odpowiedź niełatwa.

Ojciec, umysł wypolerowany, ale niegłęboki, wcześnie go odumarł. Starszy brat, Ludwik, oryginalny poeta i myśliciel (któremu poświęcę wkrótce obszerniejsze studjum) szedł temi samemi drogami, co Cyprjan, a nawet wpływowi tego ostatniego ulegał. Nauczyciele nie byli bodaj zdolni ocenić talentu przedwcześnie dojrzałego chłopca, zresztą wcześnie ich opuścił. Malarz Kokular był artystą poślednim.

Na szczęście odpowiedź daje nam sam Norwid, w autobiografji swojej, skreślonej w r. 1872 dla „Słownika artystów polskich".

„Rudimentów sztuki" — pisze o sobie poeta — „uczył się on od niepospolitego polskiego artysty i znakomitego człowieka, którego uważano w stolicy ojczyzny za pół obłąkanego. Był to arcyszeroki umysł i niemały talent, a nazwisko jego Minasowicz".

Uszanowanie, jakie Norwid okazuje Minasowiczowi i epitety, któremi go obdarza, świadczą, że między obu artystami musiały istnieć stosunki serdeczne, ugruntowane na wzajemnej sympatji i na podobnych zainteresowaniach.

Ten „arcyszeroki umysł" musiał niewątpliwie wywrzeć jakiś wpływ na młodzieńczą duszę poety, a „niemały talent" odcisnąć się na jego pracach.

Obie te kwestje wymagają dokładniejszego zbadania i rychło zostały zauważone przez norwidologów. Pierwszym, który sformułował postulat minasowiczowski, był odkrywca Norwida Zenon Przesmycki[1]), sekundowany wkrótce przez Balickiego[2]). Po latach odezwały się głosy Makowieckiego[3]) i Zygmunta Wasilewskiego[4]), którzy obaj podnoszą ważność tych dociekań, zwracając jednak uwagę na ubóstwo materjałów pomocniczych. Szkic niniejszy chce dostarczyć kilku nieznanych szczegółów i sformułować parę wniosków, któreby mogły być ogólnie przyjęte. Do kwesji Minasowicza mam zresztą zamiar powrócić jeszcze innym razem.

I

Jan Klemens Minasowicz, syn Augustyna i Agnieszki Dulskiej, urodził się w Warszawie, w r. 1797. Pochodził z zamożnej rodziny ormiańskiej, zdawna w Warszawie osiadłej i trudniącej się kupiectwem. Wśród krewnych liczył wielu luminarzy duchownych i świeckich. Stryjecznym jego dziadem był głośny w epoce stanisławowskiej wierszopis — Józef Epifani († 1796), kanonik kijowski i prawa ręka Załuskiego, a rodzony brat Jana, Józef Dyonizy († 1849), jurysta, słynął ze swych „tworów" poetyckich i z przekładów Schillera i Goethego.

Wychowany przez niezmiernie pobożną matkę i karmiony od wczesnego dzieciństwa lekturą dewocyjnych pieśni księdza kanonika kijowskiego, mały Jan nasiąknął cały duchem religijnym, który pogłębiły w nim jeszcze lata szkolne, spędzone u warszawskich Pijarów.

Po ukończeniu kolegjum wstępuje Minasowicz do uniwersytetu warszawskiego, na wydział nauk i sztuk pięknych i tu studjuje przez lat siedem malarstwo, pod kierunkiem Karola Varenne, Antoniego Blanka i Antoniego Brodowskiego.

Młody artysta kopjuje w tych latach obrazy dawnych mistrzów — Guido Reniego, Montiego, Mignarda i zbiera pochwały za liczne prace oryginalne.

W roku bodaj 1829 wyjeżdża na dalsze studja zagranicę, najpierw do Francji, do Paryża, później do Włoch.

W Paryżu zastaje go wybuch powstania listopadowego. Artysta nie wraca do kraju, żywo jednak interesuje się przebiegiem ówczesnych wypadków. Listy Minasowicza z tego czasu znajdują się w aktach paryskiego *„Comité Central en faveur des Polonais"*. Maluje teraz sporo portretów, między innemi pp. Legier, Deneville, Prevot; z tych

[1]) Chimera VIII (1904), s. 442.

[2]) Sprawozd. XXV Dyr. c. k. gimn. III w Krakowie (1908), s. 13.

[3]) Młodzieńcze poglądy Norwida na sztukę (1927), s. 28 n.

[4]) Norwid. (1935), s. 64 n.

też lat pochodzi autoportret artysty i wizerunek jego pracowni malarskiej.

W drugim roku swego pobytu w Paryżu, to jest w r. 1830, zaczyna Minasowicz rozczytywać się w religijnych poetach francuskich, w utworach Gresseta, Jana Chrzciciela Rousseau i Desbaneaux, przedewszystkiem jednak w Rasynie, który mu tak przypadł do smaku, że próbuje go tłumaczyć na język ojczysty.

„Moc, zwięzłość, harmonja i duch prawdziwie religijny autora „Atalji", „Bereniki", „Fedry" i tylu innych dzieł wielkich, nadto były mi zrozumianemi, a stąd i polubionemi, ażebym podczas wytchnień po pracy żmudnego zawodu nie obrał sobie tego rodzaju rozerwy, — lubo daleko trudniejszej, niżelim się zrazu spodziewał" — pisze po kilkunastu latach Minasowicz.

Z Paryża jedzie artysta do Włoch. Poznaje tu skarby malarstwa, zamknięte w muzeach i świątyniach, uczy się pilnie, maluje, rozmyśla i — przeżywa pierwszą miłość.

Z włoskiej podróży pochodzi kopja Najświętszej Panny Annibala Caracciego i dwa obrazy oryginalne — wnętrza kościołów św. Klemensa i św. Agnieszki w Rzymie, patronów artysty i jego religijnej matki.

Jak długo przebywał Minasowicz we Włoszech — nie wiemy, zdaje się, że stamtąd wrócił jeszcze do Paryża i tu czas pewien przemieszkał. W Paryżu też został członkiem „Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych".

Po sześcioletnim wreszcie pobycie zagranicą wybiera się do kraju, do którego zawitał na wiosnę 1835 r., oznajmiany przez pisma warszawskie i lwowskie.

Zaraz po przyjeździe zabiera się do pracy. Wynajmuje pracownię malarską w domu Łastowieckiego na Krakowskiem Przedmieściu pod nr. 67 i ogłasza po mieście, że „przyjmuje wszelkie czynności jego stanu tyczące się, przytem podejmuje się dawania nauki rysunków".

W następnym roku, po uporządkowaniu uzbieranego w ciągu ostatnich lat materjału malarskiego, Minasowicz otwiera swą pracownię dla publiczności, na sposób paryski, a to w tym celu, jak pisze ówczesny sprawozdawca, aby „rozszerzyć dobry gust i korzystać z uwag znawców".

Między wystawionemi obrazami wyróżniały się: Scena z potopu, Dziewczyna tuląca gołębia i Pokusy św. Antoniego. Było też sporo portretów, w których, mówi krytyk, „umie pan Minasowicz trafnie pochwycić charaktery osób i oddać je z wdziękiem".

Wśród obrazów, wykonanych w kraju, należy wymienić portrety rodziców artysty, ks. Bystrzonowskiego, prowincjała pijarów i Zamyskiej, (której wierszowane hołdy składał i Józef Dyonizy), nie mówiąc już o licznych obrazach religijnych, które często wówczas wystawiał (m. in. 1836 i 1841).

Przez pewien czas wykładał też Minasowicz naukę rysunków w Szkole Obwodowej na Muranowie.

Na malarstwie jednak nie kończyły się zainteresowania artysty. Gromadzi piękną bibljotekę, zabiera się z powrotem do swych tłumaczeń paryskich i wkrótce wydaje cały tom przekładów z religijnych pieśni francuskich p. t. „Śpiewy duchowne i inne poezje religijne" (1852). Książka zawierała „Hymny z brewjarza rzymskiego" J. Rasyna, „Śpiewy duchowne" i wreszcie „Wiersze religijne", wśród których, oprócz przekładów, znajdują się ciekawe parafrazy kilku ustępów Pisma Świętego, dokonane przez samego Minasowicza.

Dla scharakteryzowania artysty przytoczę tu wyjątek z takiej parafrazy (*Eccl.* XI, 9 — 10), w której maluje się wyraziście smutek i melancholja autora:

„Pal ofiary pustocie w dniach młodości twojej
Dogodź sercu, myśli swojej,
Niech Cię poi wdzięk, uroda,
Co Cię tylko zwabić może,
Niech Ci rozkosz ściele łoże,
A obfitość ponęt doda.

Zatem postępuj sobie za serca skłonnością,
Ciesz się płocho czczą młodością;
Serce, oczy niech użyją
Wszelkich pociech i słodyczy,
Niech Cię wabi głos dziewiczy,
Nektar ciągle usta piją,

„ale wiedz, że Cię dla tego wszystkiego Bóg na sąd [przywiedzie"

Rozkosz bowiem, złość ciała, lub talenta wszelkie
Młodość ufną w siły swoje
Wszelką próżność tu zagarnę:
Czcza nadzieja, zwodna pycha
To nas w przepaść wszystko wpycha
Bo to razem wszystko marne!"

Prócz poezyj drukowanych, pozostawił Minasowicz w rękopisie spory tom (208 str.), zatytułowany „Pisma oryginalne wierszem", a zaczęty na początku r. 1833 w Paryżu. Rękopis ten znajduje się obecnie w jednej z bibljotek krakowskich.

Mimo kilkunastoletniej pracy w Warszawie, nie zyskał tu Minasowicz sławy ze swych dzieł malarskich. Gdy w r. 1846 Smokowski charakteryzował współczesnych sobie malarzów warszawskich, nie wspomniał o nim nawet słówkiem.

Samotnik, o duszy mistycznej i melancholijnej, nie zaznał Minasowicz szczęścia rodzinnego ani szczerej przyjaźni. Oddalony od spraw ludzkich, przebywał tylko wśród swych ksiąg i obrazów. Pewne dziwactwa (o których niżej) ściągnęły nań opinję pół-obłąkanego i jeszcze bardziej pogłębiły rozdźwięk z otoczeniem.

Umarł Minasowicz 21 listopada 1854 r., pochowany na cmentarzu powązkowskim.

Pozostałą po nim „piękną galerję obrazów, złożoną z prac różnych mistrzów, jak i ze swoich, nadto księgozbiór, który zebrał jako człowiek wysoko wykształcony i miłośnik piśmiennictwa", odziedziczyli: brat Florjan i bratanek Juljan, syn Józefa.

II

Norwid musiał spotkać się z Minasowiczem około r. 1839, już po opuszczeniu Kokulara i kursów rysunkowych w pałacu Kazimierzowskim i stał się jego uczniem, a potem, jak świadczy gorące o nim po latach wspomnienie, i przyjacielem-powiernikiem.

Spotkanie tego „niepospolitego artysty" musiało być dla Cyprjana faktem wielkiej wagi i odbiło się bezwątpienia na jego psychice i twórczości.

Głęboka religijność Minasowicza i jego rozczytywanie się w Piśmie Świętem i pieśniach dewocyjnych, z których czerpał natchnienia poetyckie i malarskie, wpłynęły i na Norwida, u którego

ta struna dźwięczy do końca życia i stanowi jego cechę charakterystyczną.

Doskonała znajomość historji sztuki, manjera rembrandtowska w wielu rysunkach, dalej wyjazd do Włoch na studja malarskie i rzeźbiarskie, to też z pewnością wpływ starego malarza, który był „arcyszerokim umysłem”, wielbił i kopjował Rembrandta, a we Włoszech sam spędził lat parę i zdolnego pupila do tego samego musiał zachęcać. Dokładna analiza obrazów Minasowicza i Norwida wykazałaby może więcej zbieżności technicznych i tematycznych.

Wreszcie na wczesnych wystąpieniach poetyckich Norwida też mógł zaważyć Minasowicz, który był wszak przygodnym poetą, a rozmowy z nim i korzystanie z jego bibljoteki rozwijały i kształciły umysł młodego artysty.

Minasowicz musiał ocenić należycie zdolności Cyprjana i zachęcić go do dalszej pracy. Dlatego też jego — a nie Kokulara — wymienia poeta jako swego pierwszego mistrza.

Oprócz szczegółów, zamieszczonych w autobiografji, dopatrują się badacze (Przesmycki, w „Pismach Zebranych”, t. C, s. 407) innych jeszcze wspomnień o Minasowiczu w spuściźnie literackiej Norwida. On to mianowicie miał być prototypem Zwolona, ginącego za prawdę, o którym mówiono w sercu, „że on głupi”, i o nim pono myślał Norwid w młodzieńczych „Sierotach” (1840), gdy pisał o dziwnym człowieku...

„Który po swych rodzicach nie nosił żałoby,
Nie rozpaczał przy ludziach, nie chodził na groby;
Lecz czasem tylko jego zapadła powieka
Przyjmowała do siebie promyczek wesela,
A ten tak blado, drżąco z pod rzęsów wystrzela,
Jakby się od księżyca nauczył mrugania.
Ten człowiek od pierwszego z światem przywitania
Był bardzo nieszczęśliwy, ale się nie zrażał,
Patrzył w niebo i pełniąc swoje obowiązki
Na ziemię mało zważał.
On nawet w drobnych rzeczach był prześladowany,
Jakby go los trefnisiem dla siebie uczynił,
On często cierpiał potwarz, choć nic nie zawinił,
On, pragnąc zerwać róże, rwał ostre gałązki...
Ten więc człowiek, sierota od nieszczęść ścigany,
Patrząc wgórę, ze świętym uśmiechem proroctwa,
Mówił do mnie, że niema bynajmniej sieroctwa!”

Domysł ten, jeśli chodzi o „Sieroty”, bodaj prawdopodobny, bo ze znaną nam psychiką Minasowicza zgadza się doskonale i jest cennem uzupełnieniem jego sylwetki duchowej.

Widzimy więc, że Minasowicz odegrał w życiu Cyprjana rolę ciekawą i że bliższe zainteresowanie się jego osobą rzuca światło i na jego genjalnego ucznia. Być może, iż dalsze poszukiwania uwagi te pogłębią. Słusznie zwraca uwagę Przesmycki na konieczność odnalezienia korespondencji Minasowicza, wśród której mogłyby się znaleźć i listy Norwida z jego podróży artystycznych, listy, w których musiał się dzielić z mistrzem wrażeniami i spostrzeżeniami z dziedziny sztuki.

III

A teraz jeszcze jeden ciekawy szczegół.

Melancholijne, pełne niechęci do życia pospolitego usposobienie Minasowicza da się wytłumaczyć nietylko jego wychowaniem i skłonnościami idealistycznemi, ale i pewnym ważnym wypadkiem z jego życia, nieznanym oficjalnym biografom, a nader oryginalnym i wymownym.

O wypadku tym opowiedziano około r. 1870, a więc niedługo po śmierci artysty, memu ojcu, który opowiadanie to wykorzystał nawet w jednej ze swych nowel.

Minasowicz mianowicie, podczas pobytu swego we Włoszech, zakochał się w pięknej, piętnastoletniej dziewczynie i cieszył się jej wzajemnością. Niestety, kochanka wskutek jakiegoś wypadku zmarła, a niepocieszony artysta, chcąc zachować wizerunek jej rysów, uciekł się do rzeczywiście zadziwiającego sposobu.

We Włoszech w owym czasie liczni uczeni przeprowadzali badania nad możliwością balsamowania i konserwowania zwłok ludzkich i objektów anatomicznych. Głośni byli z tych badań: Tranchina, który używał do swych celów zastrzyków arszenikowych i Segato, a we Francji sławny Jean Gannal (1791 — 1852), autor *„Histoire des embaumements“*, wynalazca nowoczesnej metody balsamowania trupów przy pomocy zastrzykiwania im siarczanu glinu.

Do tych to czarodziejów zwrócił się właśnie Minasowicz z prośbą o zabalsamowanie głowy jego ukochanej, którą udało mu się w niewyjaśniony sposób wydostać.

Zabieg się udał i artysta nie rozstawał się od tego czasu z tą niezwykłą pamiątką. Przywiózł ją do Warszawy, urządził dla niej coś w rodzaju ołtarzyka i codziennie oglądał, wskrzeszając w pamięci dawne, szczęśliwe chwile. Po śmierci malarza głowę tę miano razem z jego ciałem do trumny włożyć i pochować.

Historja ta — w guście Poego — rzuca nowe światło na postać Minasowicza i tłumaczy potrosze, czemu w stolicy miano go za pół-obłąkanego. Rozumiemy teraz jego bezżeństwo, jego stronienie od ludzi i melancholję. Manja ta — pośrednia między nekrofilją a fetyszyzmem — znana jest psychjatrom i psychologom, a w historji i literaturze wiele podobnych wypadków znajdujemy.

Według legendy, przechowanej przez Talmud, Herod przez siedem lat miał trzymać w miodzie ciało swej urodziwej małżonki — Mariamne. Danton ekshumował zwłoki swej ukochanej żony. Pewien aptekarz zabalsamował całe ciało żony i trzymał stale w sypialni, inny znów urobił z wosku doskonałą podobiznę kochanki i codziennie spędzał przy niej długie godziny. Pamiętamy wszyscy rozmowy, jakie prowadził Cornelius Wyatt z zabalsamowanym trupem żony (w *„The Oblong Box”* Poego), albo podobny wypadek starego Reichstala (w „Grobie rodziny Reichstalów” Krasińskiego). W historji roi się od tych balsamowanych rąk, głów, stóp, a także od podobnych wypadków współżycia ze szczątkami drogiej sercu osoby.

W każdym bądź razie *casus* Minasowicza ważny jest i dla norwidologów. Świadczy przecież o rzadkiej ekscentryczności i niezupełnie normalnej psychice człowieka, który pierwszy zdołał wywrzeć większy wpływ na duszę Norwida. Oderwanie od życia, a dalej smutek, melancholja, mistycyzm Minasowicza, to przecież treść późniejszej psychiki Cyprjana, a fakt, że przez lat parę obcował z tym oryginałem i uczył się od niego, uprawnia nas do przypuszczenia o jakiejś podświadomej może *contagion mentale*, „stygmatyzacji” jakby powiedział Norwid, której tak łatwo mógł ulec młodzieńczy umysł poety.

JULJUSZ WIKTOR GOMULICKI

„SPOWODU HAOSU W ŻECZYPOSPOLITEJ"

(Dokończenie)

W STYCZNIU w Krakowie, wnet po Kongresie Reformacji Seksualnej (i Swiadomego Macierzyństwa), odbył się walny zlot Filologów i doproszonych rzeczoznawców pod wezwaniem sanowania zastarzałej, staroświeckej pisowni polskiej. Zlot odbywał się pod dostojnym patronatem Akademji Umiejętności i przy stałej asyscie żakietowych panów z „Wropu" czyli M.W.R. i O.P. Zlot miał się wypowiedzieć w jednej z piekących i palących kwestyj, a najwyższa instancja w stolicy imperji miała wyciągnąć potem z tego właściwe wnioski i konsekwencje. Sprawa jest taka, że z dołu, z niżów oddawna daje się odczuwać pchanie mas nauczycielstwa szkół powszechnych i normalnych w kierunku jakiegoś uproszczenia pisowni dotychczasowej. Chodzi więc także o „ułatwione życie". Tak jak jest teraz, to i dzieci się męczą i nauczyciele męczą przy dyktandach, przy zadaniach, przy poprawianiu zeszytów. No i poco to wszystko? Temu dałoby się jednak zaradzić, Przykład trzeba brać z Turcji. W Turcji, w Afganie, w Persji i w Iraku różne takie reformy od podstaw samych mają wielkie powodzenie. Powinno się naśladować Kemala paszę i zacząć trochę przewracać różne rzeczy do góry nogami. A już nasamprzodek trza zrobić porzondek z tą zacofaną, skomplikowaną, męczącą ortografją. Trzebaby to pokasować i tamto pokasować, a wtedy całość sama się złoży i wszystko, co dotychczas po grudzie, pójdzie odrazu jak po maśle. Niechżeż więc nauczycielowie śmiało wyciągną pod światło swe postulaty (po stu latach) i wypowiedzą, czego sobie rzyczą. I niechże się tak znowu nie boją tych panów z ministerjum Wropu, siedzących pontyfikalnie na estradzie. Nie taki djabeł straszny, jak go oczerniają. Mogą się tu teraz szczerze wywnętrzyć ze wszystkiego, co mają na sercu i na wątrobie. Niechżeż panowie filologi tak nie drżą ze strachu! Przecież nie pójdą stąd zaraz ani do Brześcia ani do Berezy! w awansach czy przy dymisjach też to nie będzie wchodziło w rachubę. Więc się nie bać, panowie poloniści i mówić szczerze! Excellencje rade wysłuchać. Excellencje same chcą reform, uproszczeń, ułatwień! Excellencje gotowe są bardzo zdecydowanie popierać dezyderaty większości nauczycielskiej. Prosimy więc nie dygotać w kolanach ze strachu. Prosimy gadać. Jakoś to będzie! Jazda!

Na „zew" Komisji wypowiedział się cały „Zrąb" i kolejno wszyscy z wyjątkiem tych, co się bardzo jąkali. Po takiej zachencie na poczontku było bardzo rewolucyjnie i feturystycznie i zerwanie stanowcze ze wszystkiemi tradycjami, zabobonami i przesondami: znieść *ch*, znieść *o* z kreską (ó), znieść *rz* i zostawić tylko *ż* samo. Ale odrazu wystąpił z szeregu jeden reformator który wprost przeciwnie wołał, żeby znieść wszędzie samo *h*, a na to miejsce wstawić wszędzie *ch*. Ale choć w o ł a ł to nie w o ł a ł o to głośno, gdyż go opadły delegacie znajome i przekonały, żeby z tak głupawemi wnioskami jednak nie wyjeżdżał, bo gotów ośmieszyć wogóle całą deformę pisowni. Jakżeż to bowiem pisałoby się, gdyby jego postulat przeszedł i wszystko przez *ch*: Anchelli, Cham-let, Chades, Chetman, Chygiena, Chemoroidy, Chumor. Czyż na to mógłby się zgodzić sam pan minister i wogóle stolica i Wropa; Warszawisty pewieby się ciskały i awanturowały. Filolog z cechą: *ch* zwał się zdaje się właśnie Ciompa, oczywiście nie Adam, znany powieściopisasz z Krakowa ale także pedagog, także z Kłaja czy z Liszek. Wmówiono mu, że ściągnie chańbę na chonor całego stanu nauczycielskiego i wtedy dopiero fanatyk ogólnego *Ch* cicho ustompił hyłkiem, głośno szydząc z tych, co upierają się przy wprowadzeniu generalnem gołego *h*. Jakże to bowiem pójdzie? Tedy będzie się pisało: Heopsa piramida, Hodźko poeta, Hwistek filozof, Hamfort myśliciel, Hodkiewicz bohater, hytry Hińczyk, herlak z Hadecji, horąży Hunhuzów, hiromanta z Hiwy (i Buhary) no i wogóle haos.

Drugiego dnia Zlotu ogulny nastruj rewolucyjny zaczął szybko blednąć i zmianiać się na pacyfistyczny, czyli za „rozumną ewolucją", wobec tego że kilku panów z „Wropu" na estradzie ministranckiej, wczoraj jeszcze uśmiechniętych jowialnie i dobrodusznie, siedziało teraz sztywnie i z wrogimi profilami. Z Warszawy przyszedł bowiem telefon, żeby się nie zapędzać w igrach, stop i trochę na rozwierzganych bakalaureatów ponadkładać tłumiki, stop, niech tedy miarkują te reformatoły i wogóle niech tylko markują, stop, a wnet wogóle całą bandę rozpędzić na cztery wiatry.

Wobec takiego wiatru z Wropu wielu zagorzałych ikonoklastów szybko zwinęło chorągiewki albo wszystkie żagle. Zaczęto na Zjeździe coś przebąkiwać... że w jednym obozie koncentracyjnym szykują jakiś nowy barak. Jednym zagrożono rugami, innym zruganiem. Tedy i Ciompa reformator schował się w mysią dziurę i całą drugą konferencję sześciogodzinną przesiedział w miejscu całkiem ustępliwem.

Już też i jedna z najpotężniejszych indywidualności lingwistycznych, filologicznych, polonistycznych i oświatowych wycofała się ze swego skrajnego stanowiska czy nastawienia czy podejścia. Pan nadinspektor Saloni, *spiritus rector* reformacji wyraził jasno swoją zgodę na pozostawienie nadal *ch* obok *h*, prosząc tylko o prolongowanie dyskusji nad *ż* i *rz*, wentualnie i nad *u* i *ó*. Według pana nadinspektora, znacznie wygodniej żyłoby się w Polsce bez *ó* z kreską i bez *rz*. Ze względów państwotwórczych więc korzystniej byłoby: nuż w w bżuch i buża na możu. Jednakowo pisałoby się: Pan Buk, buk drzewo i buk rzekę. Gdyby się usunęło męczące *ó* z kreską, pisałoby się prosto: Krul-Duch Pułgłuwkuw. Kładłoby się lud na muzg rozrzedzony, a oguł prędzej czy puźniej bez kłutni zgodziłby się na tak racjonalną sanację.

Gorzej już cokolwiek i trudniej z *rz*. Grażynaby została po staremu, ale Żepicha zmieniłaby się i jażębina i żeżucha i chżan i ożeh i dżewa wogóle. Wszystko to jeszcze możnaby znieść, gdyż zostałyby po staremu: żer, żarłoczność, żarty, żydy, budżet, obdłużenie...

Ale wnioskodawca nadinspektor Saloni nie przewidział jednego i nie przeczuł, że tuż po zakończeniu jego wywodów i wydzielin wstanie sobie jeden z wsteczników i kontrrewolucjonerów, zajadłych wrogów deformy i wśród nagłej ciszy zapyta całkiem spokojnie:

—...A jak pan nadinspektor będzie pisał słowa: rząd i porządek?

Audytorjum filologów i ortografów zmartwiało...

Kiedy przyszło do głosowania, ci wszyscy, którzy jeszcze przedwczoraj krzyczeli: hańba *ch!* precz z *rz!* teraz podnosili ronczki jak na komendę, głosując cacanie *viribus unitis* przeciw uproszczeniu! przeciw radykalnym zmianom, przeciw jakimkolwiek zmianom, przeciw modernizmowi, za ewolucją, ale umiarkowaną, przeciw jakiejkolwiek rewolucji! Przedwczoraj jeszcze co czerwieńsza *cavalleria rusticana (par exemple* Ciompa, docentuś) była za spaleniem encyklopedyj, słowników i całego starego śmiecia, za zerwaniem wszystkich, ostatnich węzłów i nici, łączących z przeszłą, szlachecką, królewską Polską i byli za kompletną kemalizacją i za nowemi podręcznikami, które oni gotowi pisać. Polska zaczyna się od Maja, a nie od żadnego Świętego Wojciecha...

Upłynęło trzy dni. I teraz wszyscy przeciw. A niektórzy już ochoczo cytowali wielkość i potęgę konserwatywnej rasy angielskiej, gdzie nadal uczą i łaciny i greki i gdzie przecież pisze się *lunch* a czyta się lencz, pisze się Beaconsfeld a czyta się d'Izraeli, pisze się Anglja a czyta się Albion etc. etc.

Styczniowy Zlot się rozjechał, usadowiwszy pod krzakami na Plantach tylko kópę komisyj i komitetów!

Reforma pisowni zatem nie grozi. Ale nie grozi na razie. Jakieś jaczejki ortografomanów jeszcze gdzieś tam funkcjonują. Na laurach tedy spoczywać nam nie należy.

Może ta głupota jest i szaleństwem, ale jest metoda w tem szaleństwie. Analfabeki nie tak łatwo dadzą za wygraną.

Analfabeki nie tak łatwo ustąpią ze swemi barbaryjskiemi dowcipuszkami. Analfabeki tylko przycupnęły. Analfabeki się nudzą. Więc analfabeki czepiają się co raz i co czas jakichś conieco huligańskich konceptów.

Budżet ministerstwa oświaty oberżnięto w Analfabeocji o 40%. Więc wstyd. Na 32 miljony obywateli mieszkańców i mieszańców, 6 miljonów nie czytaty i nie pisaty. Więc wstyd. W stolicy mocarstwa, w Warszawie, tak jak przed Majem, tak i po Maju 200000 (dwieście tysięcy) analfabetów. Więc wstyd! Tyle co w Timbuktu i w Kongo, ale więcej niż w Szanghaju i w Benares. Więc wstyd. Nie dają sobie rady z tem wszystkiem panowie z M. Wropu, więc wymyślają takie różne hocki i klocki, żeby się wykazać aktywnością, sprawnością i radosną twórczością. *Ut aliquid fecisse videatur.* Reforma ortografji nic a nic ich nie kosztuje, a popularność w niedoształconym motłochu budzi i dyskusję koło tego wywołuje. Udało się raz psim swędem z tem „s p o w o d u" (choć dwa lata temu też były protesty), to może udać się i z *ch* i z *rz* i z *o* z kreską. Djabeł z pod ciemnej gwiazdy nie śpi. Inteligencja w wielkich miastach będzie przeciw temu, ale masy, ale czerń belferów w dziurach i z dziur może być za tem. Nadal więc szaleje grypa w naprawie pisowni, tylko na razie utajona i po kątach.

Zbytnią odwagą cywilną filologowie nigdy nigdzie nie grzeszyli i nie grzeszą. Gotowi zawsze głosować jednogłośnie, tak jak im panowie z M. Wropu podsuflerują.

Lada chwila może znów taki reżyser ministerjalny wyreżyserować *ad captandam Barbariae benevolentiam*: „spontaniczne domaganie się całego nauczycielstwa zdemokratyzowania staroświeckiej pisowni".

I przyjdzie potem ukaz, żeby zamiast chuligany przez *c h* (od angielskiego pułkownika Chooligana) pisać huligany, zamiast cembały cymbały zamiast rzuliki żuliki i t. p.

Zaczem *periculum in moratorium*.

Co się odwlecze, to nie uciecze. Zaczem, baczność panowie bracia! Porzondek musi być. Czuwaj!

ADOLF NOWACZYŃSKI

MICHAŁ LERMONTOW

PROROK

W wierszu tym poeta nawiązuje wyraźnie do Puszkinowego „P r o r o k a", który ostatnio umieściliśmy na tem miejscu w świetnym przekładzie Stanisława Miłaszewskiego. — Red.

Od kiedy, Panie, wola Twa
Proroka dała mi wszechwiedzę,
W głębi człowieczych oczu zła
I grzechu tajemnice śledzę.

Zacząłem prawdy głosić cud,
Serca-m zapalać chciał miłością —
Lecz we mnie wszystek bliźnich ród
Kamienie ciskać jął z wściekłością.

Włożyłem wór, pokuty znak,
I z miast uszedłem na pustynię,
I żyję tu jak Boży ptak
Tem, co z Twej ręki, Panie, spłynie.

Przedwieczne prawa pełniąc Twe,
Słucha mię wszelki twór tej ziemi,
I gwiazdy są posłuszne mnie,
Patrząc oczami radosnemi,

A kiedy czasem szumny gród
Przychodzi mijać mi z pośpiechem,
To starcy, stojąc u swych wrót,
Do dzieci mówią tak ze śmiechem:

— Patrzcie, ot, przykład dany wam —
Ten dumny człowiek gardził nami..,
Głupiec, z uporem prawił nam,
Że jego mówi Bóg ustami!

Więc patrzcie w ślad za starcem tym,
Jak nędzny on, osierocony,
Jak nagi, blady, opuszczony,
Jak pogardzają wszyscy nim!

Przełożył S. C.

NA WIDOWNI

Z medytacyj porezurekcyjnych. — Czterdzieści lat temu.—Początki ruchu wszechpolskiego.—„Głos" w Warszawie. — Dmowski i Popławski we Lwowie. — Okres „Przeglądu Wszechpolskiego". — Zdobycze 50-lecia.

SIADAJĄC w czasie świąt do pisania, uczułem coś w rodzaju zawistnego żalu do czytelników, że przychodzą do gotowego, podczas gdy ja muszę wpierw napisać, żeby potem się przeczytać. O czem tu pisać na warszawskim bruku, gdy wiosna, jak widzę w Łazienkach, ogarnia nawet drzewa mgłą rozmarzeń? O czemże świat marzy? Że będzie lepiej, jak się ociepli.

Rozżalając się nad swoją dolą i sięgając do jej początku w przeszłość, uprzytomniłem sobie, że właśnie 40 lat temu, w r. 1895, gotowałem się o tej porze do spełniania roli rodaktora. Czyniłem starania u władz rosyjskich o wznowienie koncesji na tygodnik „Głos", który przed rokiem, z powodu demonstracji patrjotycznej, przez to pismo zorganizowanej, był zamknięty. Przechodziłem już przedtem praktykę redaktora, ale znacznie spokojniejszą. W latach 1890 — 91 byłem sekretarzem kwartalnika naukowego (etnograficznego) „Wisły". W r. 1893 redagowałem, jako bibljotekarz w Rapperswilu, IV tom wydawnictwa tamtejszego Muzeum Narodowego. Tom ten poświęcony był Kościuszce i miał być gotów na obchód stulecia 1794 — 1894; zawierał wielką monografję Kościuszki, opracowaną przez Tadeusza Korzona. Wiele było roboty z materjałami i korektą, a Korzon siedział w Rapperswilu i popędzał robotę. Do tego tomu musiałem napisać historję Muzeum Rapperswilskiego od r. 1870 i sporządzić katalog zbiorów kościuszkowskich. Przedmowę do wydawnictwa napisał T. T. Jeż (Miłkowski). Widocznie sądzone mi było zawsze coś redagować.

Z „Głosem" cięższa była sprawa. Władze bardzo podejrzliwie były usposobione, czy to nie jest dalszy ciąg dawnego wydawnictwa, którego redaktorzy: Popławski, Potocki, Hłasko byli uwięzieni i mieli być zesłani. Ja sam zaliczony byłem od czasów uniwersyteckich do „nieprawomyślnych" (tak, jak dzisiaj) i nie mogłem tygodnika podpisywać, trzeba więc było działać przez ludzi podstawionych i ciągle się tłumaczyć, dlaczego faktycznie tak się koło pisma kręcę. Cenzora wyznaczono jaknajsurowszego, Iwanowskiego. Dopiero w jesieni udało się wypuścić pierwszy numer. Mam właśnie przed sobą ten pierwszy tom i z pewnem wzruszeniem go przeglądam. Może to zainteresuje ludzi dzisiejszych, gdy opiszę pierwszy numer, jak wyglądał.

Na pierwszem miejscu artykuł J. L. Popławskiego (niepodpisany) „Zwrot do idealizmu", potem wiersz Andrzeja Niemojewskiego „Dumania wieczorne", początek noweli Wacława Sieroszewskiego (Sirki) „W ofierze bogom", artykuł dr. Leona Marchlewskiego (obecnie senatora, prof. uniw., członka Akademji) p. t. „Z postępu nauk ścisłych", artykuł Antoniego Langego (zmarłego poety) p. t. „Tarde i Nietzsche", szkic krytyczny A. P. O. (Antoniego Potockiego) z powodu „Opowiadań" Żeromskiego, fejleton „Głosy", rubryka „Z obcego świata" przez E. Stakorsky'ego (Jarosława Rozwodę, Czecha), Przegląd polityczny przez wl. (Ludwik Władek, nieżyjący, był konsulem w Monachjum), „Kartka z dziejów parcelacji", przez K. Bystrzyckiego (pseudonim ś. p. Mieczysława Brzezińskiego). Potem następowały korespondencje z kraju. Z Krakowa pisywał Zawisza (ś. p. Ernest Adam, późniejszy poseł, dyr. banku), ze Lwowa J. A. S (ś. p. Kaz. Wróblewski (znany filolog, historyk literatury).

W następnym numerze byli autorzy: Popławski, Józef Hłasko, poeta J. St. Wierzbicki z Mińska, Sieroszewski, Lange, F. Wermiński, Stan. Karpiński i t. d. Ze znakomitszych pisarzy przybyli w dalszych zeszytach: Bol. Koskowski, J. K. Potocki (pseud. Weznaki), Wł. Jabłonowski, Z. Daszyńska. Trudno wszystkich wymieniać, wyliczę beletrystów: W. Wolski, Adam M-ski (Trzeszczkowska), St. Wyrzykowski, Wł. Bukowiński, L. Szczepański, Wł. Reymont, Wacław Raczyński, Jan Kasprowicz, Or-Ot, J. Lemański, Zyg. Pietkiewicz, Ostoja (Sawicka), St. Żeromski, Adolf Dygasiński, G. Daniłowski, St. Pieńkowski, Brolis, Miriam (Przesmycki), Leśmian, Exterus (Godlewska), Wł. Perzyński, Kaz. Tetmajer, K. Gliński, Z. Dębicki, F. Szeglówna, A. Sygietyński, M. Komornicka, M. Wikszemski, Wł. Orkan i in.

„Głos" był prekursorem dzisiejszej „Myśli Narodowej" — te same dążenia, nawet ten sam redaktor. Wielu pisarzy zmarło. Z tych nazwisk, które wymieniłem, możnaby ułożyć wcale niezłą listę kandydatów do akademji literackiej.

— — — — — — — — — — — —

Ruch narodowy, któremu Polska zawdzięcza swoje odrodzenie polityczne, ma już w historji swoje półwiecze. Jest to okres 1885—1935. Zaczął się on w zaborze rosyjskim, tam, gdzie przedtem pragnienie niepodległości znajdowało co pokolenie wyraz w ruchu zbrojnym i gdzie najbujniej wykwitała myśl o zjednoczeniu państwowem dzielnic. Ożywienie myśli politycznej nastąpiło wtedy, gdy podrosło pierwsze pokolenie popowstaniowe. Ocknęło się z marazmu młode pokolenie inteligencji wśród ziemian i mieszczaństwa, ale też wśród ludu wyrosło pierwsze pokolenie popańszczyźniane, odczuwające zmianę korzystną w układzie społecznym.

Ten przypływ nowej energji społecznej domagał się gwałtownie zorganizowania w idei przewodniej. Nowy okres zaczynał się nie od jakiejś daty ścisłej, lecz od procesu, który pewne fakty wywoływał. Pierwszym z nich było powstanie w r. 1886 Ligi Polskiej, przeorganizowanej w r. 1893 na Ligę Narodową. Z tym faktem w związku pozostawały takie, jak Z. Miłkowskiego broszura „o obronie czynnej", założenie we Lwowie „Przeglądu Społecznego" i w Warszawie „Głosu" (1886).

Pierwsze w tym okresie dziesięciolecie charakteryzuje się wytężoną pracą nad uświadomieniem ludu i wychowaniem inteligencji w duchu ideowej na rzecz ludu służby. W programie „Głosu" najważniejszy punkt brzmiał: „uznanie ludu za najważniejszy składnik społeczności narodowej". Oczywiście „Przyjaciel Ludu" B. Wysłoucha we Lwowie brzmienie tego hasła wzmocnił.

Drugie dziesięciolecie 1895 — 1905 trzeba już charakteryzować wedle wyższego szczebla pracy. Była to już praca nad organizowaniem myśli politycznej, nad nowym programem odzyskania niepodległości. Był to okres „Przeglądu Wszechpolskiego". O tej to dacie 1895 r., sprecyzowanej faktem założenia organu, mającego epokowe w dziejach nowożytnej Polski znaczenie, chcę parę słów powiedzieć, aby uprzytomnić rytm, w który wpadły

nasze dzieje. To, co dawniej stulecia, dzisiaj — dziesięciolecia. Myśl polityczna szybszy ma obrót i tempo wydarzeń jest szybsze. Więc w ruchu naszym, jakże szybko następowały etapy późniejsze— w latach 1905 do 1915, 1915 do 1925(6), 1925—1935. Któż przepowie, co potem?

— — — — — — — — — — — —

Praca społeczno-kulturalna nad ludem nie ustawała, rozszerzając się falami po dzielnicach. Przypomnijmy sobie, jaką pieśnią odpowiedział na hasło „Głosu" Jan Kasprowicz (1889), przełamując w sobie wpływy nauki socjalistycznej: Zbawienie leży pod siermięgą! Przez naród do ludzkości! Ale ta dążność wychowawcza narastała wolą polityczną i tej kuźnicą stał się „Przegląd Wszechpolski".

Jak przyszło do założenia tego organu? Należy tu uprzytomnić epizod z życia Romana Dmowskiego. Dmowski uwięziony był przez policję rosyjską w r. 1892, gdy po ośmiu miesiącach pobytu w Paryżu wracał do kraju. Wyrokiem, który zapadł w listopadzie 1893 r., skazzny był na trzyletnie wygnanie poza granice Polski. Zamieszkał wtedy w Mitawie, a stąd w lutym 1895 r. zbiegł do Lwowa. Projekt założenia organu politycznego, któryby rozszerzany był na wszystkie dzielnice i wytwarzał nową ideologję sprawy polskiej, Dmowski ułożył już w Mitawie. Aprobował tę ideję zarząd Ligi Narodowej. Wykonanie wziął na siebie Dmowski i w tym celu osiadł we Lwowie.

Nie było to przedsięwzięcie w owe czasy łatwe ze względu na trudności, jakie emigrantom z Królestwa czyniło namiestnictwo galicyjskie, a powtóre ze względu na środki materjalne. Dmowski musiał te trudności pokonywać we Lwowie i jednocześnie — za cudzym paszportem — przedostawać się do Warszawy i do Wilna, aby „finansować" udziały, na których wydawnictwo miało być oparte.

Zdarzyło się, że we Lwowie istniało czasopismo, poświęcone sprawom kolonizacji Parany, wydawane przez Wiktora Ungara i Stanisława Kłobukowskiego. Z nimi porozumiał się Dmowski i od 15 lipca 1895 r. przekształcił je na pismo polityczne. Władze austrjackie przyjęły tę zmianę podejrzliwie, ale musiały ją tolerować, pismo bowiem firmowane było przez Galicjanina, adwokata Ungara. Pozostał też dawny tytuł: „Przegląd Wszechpolski". Ani myślano wtedy o tem, że ta „wszechpolskość" w tytule pisma stanie się niebawem zawołaniem stronnictwa i całego prądu, zmierzającego do zjednoczenia Polski.

Początki były ciężkie i z tego względu, że Dmowski nie miał z kim podzielić się pracą. Pierwsze zeszyty miesięcznika zapełniał sam, zdając sobie doskonale sprawę z odpowiedzialności za należyte postawienie programu od samego początku.

Oglądał się też za współpracownictwem tego człowieka, który go wprowadzał na pole publicystyki i którego umysłowi wierzył — za współpracą Jana Popławskiego. Czekał tedy na niego. Bo właśnie stało się tak, że przebywający jeszcze w Warszawie Popławski lada chwila mógł się zjawić we Lwowie. Chodziło „tylko" o to, żeby go wypuszczono z cytadeli i żeby zdołał przedostać się przez kordon. Popławski uwięziony był w kwietniu 1894 r. pod zarzutem organizowania obchodu ku czci Kilińskiego. Władze zawiesiły wtedy wydawnictwo „Głosu".

Popławski znalazł się we Lwowie dopiero pod koniec 1895 r., wtedy stanął do roboty. Nie dość było dać ideję, wypełnić zeszyt: trzeba go było dostarczyć czytelnikom, a ci byli za kordonem rosyjskim. Praktycznie biorąc, głównem zagadnieniem wydawnictwa był kolportaż, t. zw. kwestja „bibuły", przewożonej tajemnie przez ludzi, gotowych ponieść ofiarę na rzecz sprawy. I tu właśnie tkwiła tajemnica rozwoju i wydawnictwa i sprawy samej, że ludzi ofiarnych nie brakło.

Dwa lata następne, do końca 1897 r. „Przegląd Wszechpolski" redagowany był wspólnie przez Dmowskiego i Popławskiego. Następne roczniki do końca r. 1900 redagował sam Popławski. Tak wypadło z podziału pracy, coraz bardziej się rozrastającej. Dokonało się pewne rozgraniczenie pomiędzy działalnością Dmowskiego, jako kierownika organizacji międzydzielnicowej, i Popławskiego, wrastającego w glebę polityki galicyjskiej, która niebawem stanie się punktem wyjścia jawnej już polityki obozu w postaci stronnictwa.

Na początku r. 1901 Dmowski przeniósł wydawnictwo „Przeglądu" do Krakowa. Punkt ten był dogodniejszy dla kolporterów, jako bardziej zbliżony do kordonu. Popławski pozostał oczywiście głównym współpracownikiem. Tutaj, w Krakowie, „Przegląd Wszechpolski" wychodził do r. 1905, kiedy — wobec zmieniających się po wojnie japońskiej stosunków w polityce rosyjskiej — wypadło pomyśleć o nowych metodach działania. W zaborze rosyjskim było już czynne Stronnictwo Demokratyczno - Narodowe, mające możność jawnego działania politycznego.

— — — — — — — — — — — —

W ostatnim roczniku „Przeglądu Wszechpolskiego" z r. 1905 wiele miejsca zajmuje zeszyt, zawierający dzieje pracy tego organu w ciągu dziesięciolecia. Bardzo to ważna karta w dziejach myśli polskiej. Kto nie wejrzy w istotę pracy tych lat, uwydatnionej w owych 120 zeszytach „Przeglądu Wszechpolskiego", ten nie zrozumie Polski dzisiejszej, dla której poziom obowiązujący politykę tam, nie gdzieindziej, został ustalony.

Tam zrodziła się „myśl nowoczesnego Polaka", bardzo różna od tej obiegowej i zdawkowej, która w wieku XIX barwiła się patrjotyzmem biernym, a wręcz przeciwna tej, która pod pozorem haseł humanitarnych i ogólnoludzkich usuwała w cień interesy narodu. Pokolenie „Przeglądu Wszechpolskiego" wytworzyło więcej, niż myśl, bo kodeks c h a r a k t e r u, obowiązujący Polaka nowoczesnego, oparty na idei odpowiedzialności.

Dokonana w tym 50-letnim okresie robota przeobraziła strukturę polityczną Polski, przenosząc punkt jej ciężkości z ruchomych wyżyn do podstaw ludowych. Była to akcja tem donioślejsza, że wyprzedzała wstrząsy przemian socjalno-ekonomicznych, uniezależniła ducha cywilizacji polskiej od przewrotów mechanicznych i ciągłość dziejom zapewniła.

Praca nad organizowaniem społeczeństwa polskiego w duchu narodowym nie jest jeszcze skończona. Daleko jeszcze do potęgi duchowej. Ale — czy to się komu podoba czy nie — dalszy bieg myśli i woli polskiej wracać będzie na poziom w tym okresie ustalony. Odchylenia od tego poziomu i kierunku mogą być tylko czasowe, bo sztuczne.

ZYGMUNT WASILEWSKI

GŁOSY

ZAMIAST wysiłku dotarcia do treści słowa „Polska", „sanacja", umieściwszy na indeksie pojęcie narodu, ciągle, od dziesięciu nieomal lat wypożycza sobie rozmaite pomysły od tych, co im imponują. W mieszaninie dzisiejszego systemu znajdujemy odpryski i faszyzmu i hitleryzmu i Rosji sowieckiej. Brak koncepcyj własnych doprowadza do kopjowania z zewnątrz nawet frazesów i symbolów.

Zwracała kiedyś uwagę „Myśl Narodowa" na odezwę Związku Strzeleckiego, który, usiłując wejść na teren życia akademickiego, wywiesił hasło: „Książka i karabin!" Akurat to samo, kubek w kubek, co mówił Mussolini do Balilli.

Dzisiaj podamy inny przykład. Przechodząc ulicami miasta, spotykamy się z całą powodzią plakatów, nawołujących do podpisywania pożyczki inwestycyjnej. Wszędzie widzimy... łopaty. Tu w ręku tam na ramieniu, gdzieindziej wbite w ziemie.

Co za pomysł? Łopatą do głowy? Ależ byłoby to niedowcipne i mało, przyznajmy, celowe. Skąd więc?

— Z Niemiec. Przejrzyjmy ilustracje niemieckie, a zobaczymy tam szeregi „bataljonów pracy" zawsze z łopatami na ramionach...

Pożyczka ma też swoją poezję. Za pośrednictwem „Pionu" (literacki „Monitor" urzędowy) ogłoszono konkurs na wiersz propagandowy. Pierwsze miejsce otrzymał żyd (Hollender), drugie już Polak (Sebyła). Jak znowuż obcą jest treść Hollendra! Polak (druga nagroda) odwołuje się do uczuć patrjotycznych, bo tak poprostu czuje:

„Twój grosz! Mój grosz! A gałęzie gościńców rozkwitną
Ładowne barki popłyną wolnem wiślanem korytem,
Wstęgi stalowych szyn, grzmotem pociągów pokryte,
Strzelą prostemi torami w ziemi dalekość błękitną".

Tymczasem żyd (pierwsza nagroda) myśli po swojemu i po swojemu tłumaczy:

„Obywatelu! Patrz! Oto staje interes czysty jasny jak szkło.
Państwo pożycza, państwo oddaje, tysiąc za jeden, miljon
[za sto".

Interes staje czysty i jasny jak szkło! I co za rozkosz, gdy się pomyśli o ruchu w tym interesie: „państwo pożycza, państwo oddaje"...

Widocznie sąd konkursowy doszedł do wniosku, iż te argumenty są bardziej przekonywające. A przecież w innych czasach pamiętamy masowe odruchy, niosące nawet ślubne obrączki do narodowego skarbca...

ROZMAITE są metody, których wysiłki idą w kierunku likwidowania organizacyj, niewygodnych dla rządzącego systemu. Jedne się rozwiązuje metodami „silnej ręki", przeprowadzając masowe rewizje, aresztowania (O.W.P.), wywożąc członków do obozów izolacyjnych. Drugim... wystarczy tylko cofnąć subsydja...

Tak się obecnie ma sprawa z „Legjonem Młodych", który tak wypadł z łaski, że aż z szeregów senjoratu wycofały się takie osobistości, jak premjer Walery Sławek, b. premjer Janusz Jędrzejewicz, min. Zyndram Kościałkowski, komisaryczny prezydent m. Warszawy Starzyński oraz min. pełnomocny Schaetzel.

Oczywiście, ustąpienie tak możnych protektorów (i to nawet z radykalnego odłamu „sanacji", jak np. min. Zyndram Kościałkowski), wytworzy poprostu swoistego rodzaju „run na Legjon Młodych". O posadach mowy nawet nie będzie. Z czegoż teraz biedni „młodolegjoniści" poruszą ziemię?

Cofnięte zostaną zapewne i owe suto płatne ogłoszenia od wielkiego przemysłu, zwalczanego (gębą i drukiem) kapitalizmu, finansjery...

A wysługiwali się przez lata wiernie. Na manifestacjach pierwsi i murem, chociaż coprawda, niewielkim, odezwy podpisywali wszystkie, robili entuzjazm, ile tylko wlezie i t. d., i t. d....

A dzisiaj?

Powołani dla rozbicia jednolitej ideowo postawy młodzieży akademickiej, nic tu jednak nie wskórawszy, chcieli żerować na szerszych masach. Poszły zgóry zakazy: „Jeszczeście nic nie zrobili tam, gdzie musieliście zrobić, a już"...

Powszechnie kiedyś sądzono, że im wkońcu powiedzą: „Murzyn zrobił swoje, murzyn może odejść". A tymczasem zupełnie inaczej: „Murzyn nie zrobił swego, murzyn musi (więc) odejść".

Żal szczerze tylko garści zwichniętych, wypaczonych dla doraźnego celu politycznego, chłopców, chociaż... ostry wyrok wskazywałby, że pozostały wśród nich jednostki, które w swe formy organizacyjne pragnęły wlać ducha jakiejś, błędnej nawet, ale bezinteresownie pojmowanej, idei, a nie wyłącznie poszukiwały osobistych korzyści i ułatwień życiowych.

NAUKA i LITERATURA

KSIĄŻKA O ŻYCIU KRESOWEM

„SZCZENIĘCE LATA" Melchjora Wańkowicza, to książka napisana z dużym temperamentem. Dostarcza ona czytelnikowi wielu wzruszeń artystycznych o silnem nieraz napięciu. Wśród dzieł najnowszej naszej liteartury powieściowej jest ona pod tym względem zjawiskiem niemal wyjątkowem.

Można powiedzieć, że występuje ona z tła ogólnego charakteru tej literatury. Mimo bowiem pewnej rozmaitości, polska beletrystyka współczesna ma naogół pewien rys wspólny, który pozwala na ogólną charakterystykę całości, jako czegoś jednolitego, oczywiście w pewnem przybliżeniu. Tym rysem wspólnym jest manjeryzm. Dopiero w obrębie manjeryzmu występuje pewna rozmaitość — odmiany manjer. Każda z nich jednak powoduje to samo — zdrętwienie i zniekształcenie, podobne do zniekształcenia nóg Chinki.

Na tem tle książka Wańkowicza uderza swobodą i temperamentem. Jest żywa i porywa uwagę czytelnika. Nic tedy dziwnego, że książka ta spotkała się z dobrem przyjęciem. Nie wymaga ona od czytelnika, aby był wtajemniczony w arkana swoistej manjery, nie jest rebusem, który trzeba z wysiłkiem odcyfrowywać, aby się dowiedzieć, czego autor właściwie chciał. Pojawiły się o tej książce głosy niemal entuzjastyczne. Obok nich jednak były i nieprzychylne. Te ostatnie zarzucają Wańkowicza, że opiewa umarłą szlachetczyznę, jej obżarstwo i nieróbstwo. Zarzuty te jednak potrosze chybiają celu. Mianowicie nie trafiają one w wartość literacką książki.

Wańkowicz wprowadza czytelnika w pewien, ściśle określony świat, który zna dobrze, dla którego ma duży sentyment. Można się z Wańkowiczem kłócić, jeśli

wola, czy słuszna jest jego miłość dla tego świata. Trzeba mu jednak oddać tę sprawiedliwość, że kocha on ten świat naprawdę, to znaczy razem z jego wadami. Nie jest to przywiązanie teoretyczne, ale życiowe. W tem zaś jest cała tajemnica tej książki. Czytelnik bowiem nie ma żadnej wątpliwości, że autor nie mógł napisać tej książki inaczej, niż tak właśnie, jak ją napisał, to znaczy, że jest ona napisana z istotnej potrzeby artystycznej, nie zaś z potrzeby finansowej, czy grafomańskiej. Jest to ze strony Wańkowicza zamknięcie pewnego życiowego rachunku. Dlatego to panuje w tej książce czysta atmosfera, jeśli chodzi o stosunek autora do jego przedsięwzięcia, dlatego jest w niej życie.

Jakiekolwiekby zaś były grzechy tego życia, jedno można o niem powiedzieć. Ten świat, który przedstawia Wańkowicz, żyje życiem prostem, podlega prostym ułomnościom, reaguje na proste podniety. Dlatego każdy tę książkę rozumie i czuje.

Na tem tle rysuje się jedna z głównych zalet książki — jej stosunek do natury. Jest już zaletą tej książki samo to, że ten stosunek jest w niej wogóle wyrażony. Dzisiejszy człowiek, który ma wiele powodów do duchowego zmęczenia, skłonny jest do szukania prostych wzruszeń, a wzruszeń tych dostarcza w dużej mierze piękno natury. Wańkowicz jest na to piękno wrażliwy i potrafi dostarczyć czytelnikowi przeżyć tego rodzaju. Jest też w tej książce dużo świeżego powietrza w tem najprostszem znaczeniu, świeżego powietrza z lasów i wsi, z przyjemnością wdychanego przez czytelnika, zamkniętego w mieście. Czytelnik miejski, dla którego łącznikiem z naturą jest termometr, i którego stosunek do natury wyraża się przez schowanie do szafy melonika, a wydobycie z naftaliny futrzanej czapki, napotyka, czy raczej odnajduje w książce Wańkowicza zażyłe obcowanie człowieka z przyrodą. Doznaje przytem wrażenia jakby przełamania lodów towarzyskiego formalizmu w stosunku do bliskiego krewnego, z którym stosunki jakoś się zerwały.

Stosunek do natury jest bowiem w książce Wańkowicza rodzinny. Życie człowieka i życie przyrody splatają się w jedną harmonję i jest to może stan rzeczy naturalny, dziedzicznie dla człowieka potrzebny. Co więcej, i stosunki między ludźmi układają się w pewien przyrodniczy, organiczny sposób i jest to drugi powód, dla którego czytelnik dzisiejszy znajduje w tej książce szerszy oddech.

Takim właśnie przyrodniczym stosunkiem — jest stosunek chłopa do pana, wedle przedstawienia Wańkowicza. Pan jest dla chłopa częścią natury, tak jak częścią natury są i wiosenne ciepła i zimowe mrozy. Przychodzi jednak moment rewolucji. Chłop dowiaduje się, że może być inaczej, że może nie być panów. Ale, grabiąc ich mienie, wzdycha żałośnie nad dolą pana, z którym się zżył, wzdycha tak, jak z nadejściem wiosny wzdycha się jednak za lubą srogością zimy.

Słyszałem głosy oburzenia na stosunek Wańkowicza do rewolucji. Zarzucano mu, a czynili to tacy jak i on kresowcy, że zbyt mało jest w jego książce oburzenia na barbarzyństwo chłopstwa. Głosy te zdziwiły mnie — bo stosunek Wańkowicza do tych spraw jest bardzo wyrozumiały i refleksyjny, ale też i dostatecznie pański w dobrem znaczeniu tego słowa, aby zadowolić mógł ambicje zrujnowanych panów bez ziemi.

Na zakończenie trzeba jeszcze wytknąć autorowi pewien błąd. Autor chciał bodaj uczynić ze swej książki dokument tego minionego życia, które opisał. Być może też z dążenia do dokumentarnej wierności wynikało, że zamieścił w niej pewne drastyczne z tego życia obrazy. Skoro jednak te rzeczy były i w samem życiu chowane w cień, czy było rzeczą konieczną wydobywać je na tę samą płaszczyznę i to samo światło, co i inne? Przytem autor wyrządził tem sobie krzywdę niepowetowaną. W tym bowiem stanie trudno, aby książka jego zabłądzić mogła pod strzechy dziecinnych czupryn. J. GR.

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Bieżący zeszyt (2 i 3, r. 1935) „Kultury i Wychowania przynosi szereg ciekawych artykułów i notatek.

A n d r z e j L a l a n d e w szkicu p. t. „O przesądach sprzeciwiających się rozwojowi sił moralnych" (z franc. rękopisu przełoż. Zb. Wierzbicki) roztrząsa problem najgłębszej, wrodzonej nie nabytej, dwoistości natury ludzkiej.

W swych rozważaniach zbliża się niekiedy do stanowiska, zajmowanego w dziedzinie filozofji wartości przez chrystjanizm.

Prócz rozdwojenia wewnętrznego indywiduum, istnieje również—według p. Lalande—dualizm społeczny, wyrażający się w antynomji oznak wewnętrznej spólnoty społecznej i jaskrawych niechęci międzygrupowych. Oczywiście, dualizm, dostrzegany w jednostce, bynajmniej nie jest pojęciem pochodnem w stosunku do dualizmu społecznego. Tylko to przeświadczenie może nas powstrzymać od donkiszockiej walki z najbardziej nieraz wartościowemi siłami naszej jaźni, a podjętej w imię antyspołecznego indywidualizmu, buntu przeciw naciskowi grupy.

J ó z e f P i e t e r w artykule: „Pogląd na świat a wychowanie" zajmuje się, niezmiernie dla pedagoga doniosłą, kwestją wytwarzania, prawidłowego i możliwie zwartego, poglądu na świat — przedewszystkiem u powierzonej wychowawcom młodzieży.

Idealny (filozoficznie doskonały) pogląd na świat winien być c z y n n i k i e m, j e d n o c z ą c y m n a s z e ż y c i e ś w i a d o m e; praktycznie jest to taki z o r g a n i z o w a n y z a s ó b p y t a ń i o d p o w i e d z i, c z y l i w i a d o m o ś c i, k t ó r y p r o w a d z i k o n s e k w e n t n i e d o w y t w o r z e n i a m o c n y c h i d e a ł ó w p o s t ę p o w a n i a, o g a r n i a j ą c y c h c a ł e ż y c i e, lub inaczej, ponieważ filozofja przedewszystkiem wyznacza nasze ideały, poglądem na świat nazwiemy p r a g m a t y c z n y z w i ą z e k z a p a t r y w a ń f i l o z o f i c z n y c h z i d e a ł a m i p o s t ę p o w a n i a, a co idzie za tem, z k o n k r e t n e m, c o d z i e n n e m ż y c i e m.

Źródłem idealizmu i problemów filozoficznych, a nawet dogmatycznych (jedynie zaspokajających) odpowiedzi na najbardziej dręczące zagadki bytu, jest, według autora, hyperfunkcja rozumu ludzkiego, nadczynność, nie służąca żadnej z potrzeb biologicznych, a więc, z punktu widzenia zachowania gatunku (jedynie naukowy punkt widzenia—daleki od filozofji i metafizyki), zupełnie nierozumna.

Jak widzimy, autor tkwi na stanowisku religjopoznawczem, konsekwentnie nie uznaje t. zw. objawienia wewnętrznego, jest w stanie dostrzec w najlepszym razie „psychikę" z całym aparatem poznawczych funkcyj umysłu, tradycyjnych kryterjów wartościowania etc. Stąd płyną i dalsze konsekwencje: konieczność przystosowania, w sensie korekty rozumowej, dogmatów religijnych do analitycznych predyspozycyj umysłowych odbiorcy (no, i twórcy — wedle autora) doznań religijnych.

Z utylitarnego punktu widzenia spogląda autor łaskawem okiem na religje, daleki jest natomiast od świętego dreszczu w momentach objawień...

J ó z e f C h a ł a s i ń s k i zaznajamia nas z interesującą współczesnością amerykańską („Tendencje antydemokratyczne w Stanach Zjednoczonych"), podkreślając wzrost nacjonalizmu i imperjalistycznego militaryzmu, organizowanego przez państwo, związki kombatantów oraz przez „zawodowych patrjotów".

Spis rzeczy byłby niekompletny, gdybyśmy nie wspomnieli chociaż: S w a m i Y a t i s w a r a n a n d a — „Moralność i praca", W o j c i e c h a G o t t l i e b a — „Wychowanie a przemiany społeczne", wreszcie A n t o n i e g o B o l e s ł a w a D o b r o w o l s k i e g o — „Sprawa oświaty inteligenckiej, czyli wykształcenia ogólnego na wyższym poziomie".

(ST. J.)

*

Gdyby dziś jeszcze żyła Rachel (Ruchla) z „Wesela", ta, co „znała cały Przybyszewski", napewnoby różne dzisiejsze księgarnie zabiegały o wydanie tomików jej wierszy, a różni dzisiejsi krytycy zachłystywaliby się z zachwytów i cmokali z upodobaniem nad każdym — jeszcze nawet nienarodzonym — jej utworem. Bo dziś wystarczy być żydówką i zdobyć się na gryzmolenie różnych zdań czy słów nibyto polskich, niekoniecznie z sensem i rymem, by zdobyć sobie *a priori* miano tęgiej poetki. Wszak niedawno w poważnem skądinąd piśmie pewien krytyk już n a k r e d y t wypisywał recenzje żydowskim wierszopiskom, radując się w duchu, jakie to wiersze kiedyś napisze to Irena Tuwim, to Łazowertówna, to jakaś tam inna Debora. Dlatego też możemy być pewni, że „Napierski" w „Wiadomościach literackich" napisze całe hymny pochwalne na cześć wydanych nakł. f. Hoesicka „Szarych wierszy" niejakiej Neli G a j z l e r ó w n y.

My jednakże wszystkie wiersze — i szare i pstrokate — tej izraelskiej wieszczki zaliczymy bez wahania do rzędu pospolitej żydowskiej grafomanji, od jakiej teraz roi się wszędzie. Te same narodowe cechy żydowskie: krzykactwo, mglistość, tandetny frazes, sztuczną nadętość i pretensjonalność, ślinienie się, rzężenie, charkanie, lubowanie się we wszelkich obrzydliwościach, we wszelkich zboczeniach, spotykaliśmy już w wielu tomikach; Nela Gajzlerówna nie jest ani lepsza ani gorsza od różnych Kragenówien i innych reklamowanych cór Izraela. Jej polszczyzna jest w równej mierze polszczyzną z Nalewek; świadczy o tem przedewszystkiem nieodróżnianie dźwięków, ć-cz, ś-sz, ź-ż. Jak kiedyś jeden z reklamowanych poetów rymował w i e r s z y i p i e r s i (czytaj: p i e r s z y), tak Gajzlerówna pisze o ż r a ł y c h gruszkach (czy od ż r e ć?) zamiast o ź r a ł y c h i t. p. Dopełniacz od rzeczownika b ó b r brzmi u niej b o b r u. Jak na prowincji można spotkać żydowskie karczmy „pod z ł o t n y m lwem", tak Gajzlerówna wraca w p u s t n e (zapewne p u s t e?) ściany swego domu... Ale już popisowe jest „Proludjum tatrzańskie", gdzie wierszopisarka narzeka:

„pod r u p i e c i ą liści zciszonych
zgasnę, jak w a ż k a k a l e k a".

Zgaśnij, zgaśnij, luba poetko! Mamy dość takich rupieci! Nie kalecz już polskiej mowy! Pisz lepiej w żargonie! (J. B.).

TEATR

JUBILEUSZ CIERNIAKA

W WARSZAWIE i Krakowie organizacje Teatru ludowego obchodziły niedawno uroczyście jubileusz 30-letniej pracy w tej dziedzinie Jędrzeja Cierniaka, który rozpoczął ją jako młody chłopak przedstawieniem amatorskiem w swej rodzinnej wsi, w Zaborowie nad Wisłą w woj. Krakowskiem. Nazwisko Jędrzeja Cierniaka, znane dobrze wszystkim, którzy zajmują się kwestją „kultury ludowej" w szerokich kołach kształcącej się młodzieży wiejskiej i ze wsi, cieszy się serdecznem uznaniem i staje się niemal symboliczne. Wynika to nietylko z pełnej prostoty i ujmującej indywidualności Cierniaka, lecz i z oddźwięku, jaki znalazły jego myśli i inicjatywy w dziedzinie teatru ludowego, myśli i inicjatywy szeroko poza obręb zagadnień popularnego teatru wykraczające. Najgłębszem pragnieniem Cierniaka, który jest z temperamentu artystą, jest uratować wszystkie walory rodzimej kultury wsi polskiej: jej kolorowość, jej rytm taneczny, jej melodję, jej gest gazdowski, jej, słowem, rasową swoistość uratować przed zamulemiem przez kosmopolityczną, miejską i przedmiejską szarzyznę.

Teatr ludowy, którym, by opiekować się, Cierniak zorganizował Instytut Teatru Ludowego, a któremu oddaje się on z niezmordowaną gorliwością i nigdy niestygnącym zapałem, jakim i szereg innych pracowników zdołał natchąć—ma być walnem narzędziem owej obrony rodzimej wsi polskiej przed destruktywnemi infiltracjami. Jeżeli ideje cierniakowskie przyjmą się i wydadzą plon obfity, to w kulturze narodowej polskiej uratuje się coś dobrego.

Liczny i żywy udział ludu na uroczystości w Krakowie świadczy, że i wieś już budzi się do świadomości swych walorów.

MUZYKA

FILHARMONJA

DONIEDAWNA jeszcze wielkoczwartkowe koncerty warszawskie „musiały mieć" w swoim repertuarze „*Stabat Mater*" Rossiniego. Pełen teatralnej pozy, wysoce pretensjonalny i zmysłowy utwór ten nic nie ma wspólnego z pokutnym duchem Wielkiego Tygodnia, a jednak od lat zajmował w programach pierwsze miejsce. W tym roku bodaj że go również wykonano. Tym razem na scenie Opery.

Przyznajmy, że tam mu jest rzeczywiście zupełnie do twarzy. Natomiast Filharmonja postarała się o odtworzenie „Pasji" Jana Sebastjana Bacha, według słów św. Mateusza.

„Pasja" ciągnie się jakby sznurem Różańca świętego, rozpamiętywaniem Jego Tajemnicy Bolesnej. Długim szeregiem *recitativ*'ów, aryj i chorałów, dążymy za słowami Ewangelisty poprzez wszystkie Stacje Męki Pańskiej aż do chwili, gdy Józef z Arymatei wziął Chrystusowe Ciało, by Je złożyć do grobu.

Słowa opowiadają o tem serdecznie, nieledwie tkliwie, a chorał końcowy wybucha ogromnym żalem:

„Wir setzen uns mit Tränen nieder..."

Wysoki artyzm sztuki bachowskiej odtwarza przebieg największego dramatu świata z głęboką prostotą, pełną szczerego uczucia, które dominuje w całem dziele, podkreślone słowami poety Picandra. Prawdę zdań głoszących, że Bach jest przedstawicielem żarliwego i kunsztownego gotyku, zaplątanego w zmysłowy okres ośmnastego wieku, czuło się we czwartek wyraźnie.

Pasja według św. Mateusza jest jedną z dwóch, które napisał. Nie liczę oczywiście Pasji według św. Łukasza, nie będącej, jak wykazały długie badania, dziełem organisty Kościoła św. Tomasza w Lipsku, oraz Pasji według św. Marka, dochowanej do naszych czasów jedynie w szczątkach.

Wielkie dzieło wykonane było w Warszawie po raz pierwszy, siłami zaproszonemi z zagranicy niemieckiej. Śpiewał wrocławski chór „*Singakademie*" pod dyrekcją F r i t z a L u b r i c h a. Lubrich wkłada w wykonanie wiele wysiłku, nie panuje jednak w zupełności nad zespołem i solistami, to też wykonaniu możnaby zarzucić niejedno. Ogromny skład chóru (około dwustu osób) jest zdyscyplinowany niemal wzorowo, posiada wyczucie tempa oraz doskonale opanowane partje, mimo wszystko jednak nie przedstawiał całkowicie zadowalającego poziomu, zwłaszcza jeśli chodzi o głosy solowe (H i l d a G a m m e r s b a c h sopran, E w a L i e b e n b e r g alt, H e i n t z M a t t h é i tenor, E r n e s t O s t e r k a m p bas oraz B r u n o S a u k e bas).

Na bezwzględną pochwałę zasługuje zrozumienie powagi zadania i szacunek dla treści wykonywanego dzieła oraz jego autora.

Przy organach G e r h a r t B r e m s t e l l e r, przy fortepianie E l z a S c h m e i d l e r. Orkiestra Filharmonji Warszawskiej.

W. NARUSZ

ZMARLI

Ś. P. MIECZYSŁAW FRENKIEL

W DZIEJACH teatru polskiego ś. p. Mieczysław Frenkiel zajął jedno z tych stanowisk, według których obliczają się daty epok. Od czasu wstąpienia do szkoły dramatycznej do ostatniego przed trzema laty występu, w każdym razie od pierwszego występu w r. 1881 — dobrych lat 50 pamiętne będą jako czasy Frenkla. Dlatego znakomitemu artyście, który teraz 18 kwietnia — po długiej chorobie — zmarł w Warszawie, należy się żałobna karta, jego pamięci poświęcona, a żałobie powszechnej odpowiadająca.

Biografję streszcza kronika teatralna w tych słowach: Ś. p. Mieczysław Frenkiel pochodził ze starej polskiej rodziny. Właściwe jego nazwisko brzmiało Adam Bonawentura Paprzyca-Niwieński. Urodził się w 1859 roku we wsi Byszowie w pow. sandomierskim. W Sandomierzu skończył gimnazjum, poczem zapisał się na wydział medyczny uniw. warszawskiego. Rychło jednak przerwał te studja, czas pewien gospodarował w majątku rodziców, a następnie wstąpił w 1878 r. do szkoły dramatycznej Derynga, w której odrazu oceniono jego wielkie zdolności aktorskie.

W 1881 r. zaangażował go Koźmian do teatru krakowskiego, gdzie debiutował w „Kościuszce pod Racławicami". W parę lat później (1885 r.) ściągnął głośnego już artystę do Lwowa Jan Dobrzański.

Warszawa pierwszy raz ujrzała Frenkla w 1887 r. na gościnnym występie. Dopiero w 1890 r. przeniósł się na stałe do stolicy i odrazu zdobył jej serce. Nie było to łatwe, obejmował bowiem berło najznakomitszego artysty komedjowego, po takim mistrzu, jakim był Żółkowski.

Pozostał w Warszawie na całe życie. Zrósł się z nią w doskonałej symbiozie. Czuł się w centrze Polski — centralny Polak. Panował nad swą sytuacją artysty, jakby nim był z wyboru dróg, i jeszcze zbywało duży kawał człowieka dla szerszego społeczeństwa. Był to człowiek oświecony i umiejący żyć rzeczywistością obywatelską. Posiadał nawet talent pisarski. Pisywał pełne staropolskiej swady gawędy, nowele, monologi. Osobno wyszły Frenkla „Opowieści z lat dawnych".

Stawał wszędzie tam, gdzie był i pisarz warszawski. Żył dość szerokiem życiem towarzyskiem poza sferą teatru. Wrastał w wielu punktach w stosunki warszawskie. Wszędzie był witany radośnie i kochany. Niepospolite to było wcielenie humoru, jako artystycznego umiłowania komizmu i dowcipu. Był to humor, który gdzieś głęboko krewnił się z melancholją, wstydliwie maskowaną. Dlatego do najlepszych jego ról należał Cyrano de Bergerac, oczywiście pojęty po polsku.

Obcych autorów polszczył, ze swoimi współpracował, odtwarzając ich postacie w tekst zaklęte: jakby szedł w zawody z wyobraźnią autora. Słusznie o nim mówi Grzymała-Siedlecki, że był aktorem tak polskim, jak Kossak Juljusz polskim malarzem, jak Moniuszko polskim muzykiem. Kochał się nietylko w naturze polskiej, ale nadewszystko w jej kulturze. W tej miłości swojszczyzny znajdował zawsze klucz do odgadnięcia typu psychicznego i gatunku kultury, w talencie zaś swoim — sposób odpowiedniego stylizowania.

Wiele Frenklowi zawdzięczali radości estetycznej widzowie przez te lat 50, ale bodaj więcej zawdzięczali autorowi sztuk, w których on występował. Jeśli to byli pisarze dawni, to on wskrzeszał, podsuwał żywych historykom, dla których byli bibljotecznemi cieniami, jeśli to byli autorzy żyjący — to rośli w szacunku dla siebie i utwierdzali się w woli twórczej.

Ubył z przednich szeregów twórczości polskiej artysta, który się nie błąkał manowcami, duszy polskiej nie zgadywał, miał ją w sobie i gospodarzył, jak pan, hojnie rozdając, nic nie trwoniąc.

Żal powszechny licznych wielbicieli i przyjaciół prowadzi do grobu jego trumnę. Z żalem, bo ten grób zamyka tego, który uczył nas kochać życie. W.

Ś. P. KAZIMIERZ WYRZYKOWSKI

SZERSZEMU ogółowi powojennego pokolenia nazwisko to nieznane może zupełnie. Dawny naczelnik związkowy Sokolstwa, pierwszy naczelny komendant i jeden z twórców harcerstwa, od dziesięciu lat, powalony ciężką chorobą, nie opuszczał łoża.

Zasługi ma ś. p. Dr. Kazimierz Wyrzykowski dla wychowania narodowego ogromne. W starej, niepodległościowej organizacji sokolej był promotorem nowych kierunków i nowych metod wychowania, fizycznego przedewszystkiem, jako że wychowanie fizyczne wzięło sobie Sokolstwo za podstawę wychowania narodowego. Sokolstwo rolę pionierską odegrało w przeszczepieniu na nasz grunt racjonalnych metod gimnastyki, w rozszerzeniu zamiłowania do gier i zabaw na wolnem powietrzu, w stworzeniu obozownictwa i kursów w obozach. Jednym z głównych pionierów, a dzięki swemu stanowisku kierowniczemu, może najwpływowszym, był dr. Wyrzykowski.

Stałe Drużyny Sokole, świetna organizacja wojskowa, która na jednodniowym Zlocie Doraźnym w r. 1913 we Lwowie skupiła 6.600 Sokołów, przybyłych z całej Małopolski, zdobywając uznanie i podziw całego społeczeństwa, dzięki swej postawie i wyćwiczeniu, — w Wyrzykowskim miały opiekuna i rzecznika wobec władz „cywilnych" Sokoła, jak w Hallerze głównego instruktora.

Młodzież, garnąca się pod skrzydła sokole w drużynach „dorostu", znalazła w nim swego wodza, jako w naczelnym komendancie skautowym. Jemu głównie, obok Biegi i Grodyńskiego, nieżyjących już działaczy narodowych i sokolich, zawdzięcza harcerstwo znalezienie opieki w Sokole. Uchroniło to młody skauting polski od wypaczenia i wciągnięcia w orbitę wpływów partyjnych, dało możność wykorzystania dorobku metod sokolich, zwłaszcza w formie oparcia wychowania fizycznego w harcerstwie o racjonalną gimnastykę, czego potrzebę skauting angielski zrozumiał bodaj dopiero w r. 1934.

Tych wszystkich spraw i prac Wyrzykowski *maxima pars fuit.*

W czasie Wielkiej Wojny na współdziałanie dobrowolne z Austrjakami i Niemcami zdecydować się nie mógł. Wykonał, co musiał, jako oficer-lekarz, pracując w szpitalu w Wiedniu. Po upadku Austrji wrócił natychmiast do Lwowa i stanął w szeregach jego obrońców, nieraz narażając życie w lotnych kolumnach sanitarnych.

W r. 1924 został mianowany dyrektorem I państw. kursu wychowania fizycznego na Uniwersytecie Jana Kazimierza. W tym samym roku ciężka choroba przerwała pracę, do której nie było mu dane wrócić. Zmarł we Lwowie 25 stycznia 1935 r., spoczął w grobach rodzinnych w Żółkwi.

Był z tych, co na czoło się nie wypychali i o sobie nie myśleli. Cały oddany pracy ukochanej, rozgłosu nie szukał. Na wdzięczną pamięć Polski dobrze sobie zasłużył.

S.

NA MARGINESIE

W dziennikach czytamy:

„Minister w. r. i o. p. zarządził, aby po ogłoszeniu nowej ustawy konstytucyjnej, w szkołach wszystkich stopni i typów zebrano młodzież szkolną i wyjaśniono jej znaczenie tego wydarzenia. Przemówienia mają być krótkie, a wyjaśnienie myśli przewodniej konstytucji ma być oparte n a p i e r w i a s t k u u c z u c i o w y m".

Niewątpliwie wychowawcy oprą się na senackim referacie pana hrabiego Rostworowskiego. To bardzo uczuciowy człowiek.

*

Komenda główna Legjonu Młodych otrzymała od protektorów przykrą pisankę wielkanocną w postaci pisma senjorów tej treści:

„Niżej podpisani senjorzy Legjonu Młodych — doszliśmy do przekonania, że organizacja „Legjon Młodych" nie wywiązała się z wziętych na siebie zadań wychowawczych. Stwierdziliśmy, że metody organizacyjne odbiegały zbyt daleko od ustalonych założeń moralnych i ideowych. Uznaliśmy wobec tego za konieczne cofnięcie swoich nazwisk z listy senjorów Legjonu Młodych".

Podpisał się pod tem między innymi sam twórca Legjonu i całego systemu „wychowania państwowego", p. Janusz Jędrzejewicz. Jak wiadomo, za wzór wychowania państwowego konsekwentny Legjon obrał sobie system najbardziej „upaństwawiający" ze wszystkich, mianowicie: sowiecki. W tym też duchu zajął się wychowaniem młodzieży szkolnej w Straży Przedniej.

Jakże trudno wymyśleć coś nowego poza systemem wychowania narodowego i chrześcijańskiego! A ile to kosztowało!

*

Zjechał kupiec do wsi, aby czynić zakupy, ale wrócił z niczem, bo mu nikt nie mógł wydać reszty ze stu złotych. „Spowodu": zupełny brak gotówki.

Przywiózł jednak ze wsi aforyzm:

— „W Polsce łatwiej zmienić konstytucję, niż sto złotych".

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Mokotowska 11 m. 5. Tel. 9. 25-46. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. **9**, półrocznie zł. **17**, rocznie zł. **32**, zagranicą kwart. zł. **12**, półroczn. zł. **24**, rocznie zł. **45**. Konto czekowe na P. K. O. **3.105**.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. SPOŁECZNA. Pl. Grzybowski 8/5. Tel. 205-80. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM